MIESIĘCZNIK PROWINCJONALNY

Cena 5 zł
(w tym 5 %
VAT)
indeks
351245

Nr 3
(144)
Radom
maj-
czerwiec
2014



Na okładce:
Dziewczynka z pomnika Wdzięczności Armii Czerwonej na cmentarzu prawosławnym w Radomiu
fot. Stanisław Zbigniew Kamieński
(9.04.2014 r.)

Pismo społeczno-kulturalne
Nr 3 (144)
Radom, maj–czerwiec 2014
cena 5 zł ISSN 1506–5391

Redaguje zespół w składzie:
Anna Skubisz-Szymanowska – redaktor naczelna,
Agata Morgan – sekretarz redakcji,
Mariusz A. Dański, S. Zbigniew Kamieński,
Jerzy Kutkowski, Ilona Michalska-Masiarz,
Barbara Pikiewicz, Grzegorz Sasin, Anna Spólna,
Mieczysław Szewczuk, Robert Utkowski

Wydawca:
Miejska Biblioteka Publiczna
w Radomiu
Adres redakcji:
ul. J. Piłsudskiego 12
26-600 Radom
tel.: 48 360 23 67
fax: 48 363 38 18
e-mail: miesiecznik.radom@op.pl
http://facebook.com/miesiecznikprowincjonalny

Skład i przygotowanie do druku:
Mariusz A. Dański

Korekta: Halina Bogusz

Druk: MULTICOLOR
ul. Mikosa 19/2
26-600 Radom
e-mail: multicolor@multicolor.nazwa.pl

**Zespół „Miesięcznika Prowincjonalnego"
dziękuje Panu Czesławowi Krukowi
za współfinansowanie wydawnictwa w 2014 roku**

Biblioteka jest finansowana przez Gminę Miasta Radomia

MIESIĘCZNIK PROWINCJONALNY

Od redaktora

Zrobiłam wśród moich znajomych szybki test dotyczący najbardziej znanego, najpopularniejszego przedstawienia dziecka w literaturze. Zgadną Państwo, kto wygrał? Urszulka Kochanowska.

Zaczęłam zastanawiać się, czy chodzi więc o dziecko jako takie, czy też o dziecko przefiltrowane przez emocje, uczucia i wrażliwość dorosłych.

W poezji Kochanowskiego nie ma wszak Urszulki-dziewczynki. Nie ma dziecka z jego pojmowaniem świata, szczerością, lękami, wyobraźnią, buntem. Jest tylko żałoba, wszechogarniająca rozpacz, przeżywanie utraty.

Nie wiemy, i nawet nie możemy przypuszczać, że książę polskiej poezji były w stanie napisać tak fantastyczny cykl poetycki dla dziecka żyjącego. Dzieci żyjące nie są tak idealne i tak powolne naszym wyobrażeniom o nich. Nie są samą radością i szczęściem. Często, z powodu tego, że są, bo muszą być, inne niż nasze pragnienia i marzenia, wywołują złość i rozczarowanie, które wszak nie wyklucza miłości – ta jest bezwarunkowa. Na ogół. Wyjąwszy patologie.

Dziecko jest bezgranicznie szczere dzięki temu, że nie przetwarza otaczającej go rzeczywistości przez intelekt ani konwenanse. Tego pierwszego nie jest jeszcze świadome, a tych drugich jeszcze nie zna. Ot, po prostu widzi, czuje i reaguje, ocenia. Czasem taka dziecięca ocena bawi, czasem zadziwia i niepokoi, czasami bywa bolesna i zawstydzająca. Uderza w obłudę i cynizm dorosłych, w ich racjonalny i umowny świat.

Ale dzieciństwo nie jest wolne od żelaznej, rządzącej światem zasady przemijania. A więc przemija. W procesie tak zwanego wychowania dorośli odbierają dziecku przede wszystkim szczerość, mimo że ciągle wskazują na nią jako na jedną z podstawowych wartości. No bo jak można być szczerym i jednocześnie grzecznym, uprzejmym, dobrze ułożonym? Jak można nazywać rzeczy po imieniu, jeśli nie wypada powiedzieć złodziejowi, że ukradł, a oszustowi, że kłamie? Naiwność, tak wzruszająca u dziecka, u dorosłego staje się infantylizmem, dziecięcą szczerość z upływem czasu zaczynamy nazywać prostactwem.

Wyrastamy ze śpioszków i pajacyków – zakładamy gorsety, pasy, kamizelki. W czasie tych przebieranek gubimy złudzenia. Niezmiernie kolorowy świat traci barwy. Staje się szary i ujednolicony. Razem z każdym za małym ubraniem tracimy kawałek bezpiecznego, uporządkowanego świata. Kolejne ubranie w coraz większym rozmiarze wymusza na nas układanie rzeczywistości na nowo – w innym porządku, w innej kolejności spraw ważnych.

Nie jest łatwo, choć mamy na to lata. A gdyby tak przyszło przenieść się w dorosłość za pomocą wehikułu czasu? Szaleństwo gwarantowane.

Anna Skubisz-Szymanowska

W numerze

w Galerii Prowincjonalnej
PRACE LESZKA KWIATKOWSKIEGO



Gdzie słychać ciszę książek...

Marta Wiktoria Trojanowska

Spieszą się. Właściwie wszyscy. Czasami rozejrzą się dookoła znudzeni uczniowie, którzy przyszli na obowiązkową wycieczkę do biblioteki. Czasami przyjdzie ktoś z aparatem fotograficznym – zwykle zagubiony, przypadkowy... Czasami ktoś zainteresuje się stojącym najbliżej wejścia słonecznym zegarem. Pozostali się spieszą. Wiem, bo często patrzę przez biblioteczne okno...

No, może jeszcze wtedy, gdy zakwitną drzewa japońskich wiśni przed budynkiem i biblioteka tonie w różu. Albo kiedy pojawią się pierwsze kwiaty magnolii, a kwiaty bzu spadają na tarczę zegara. Wtedy przystają... Ale to dzieje się tylko przez chwilę, a oni spieszą się zawsze...

*

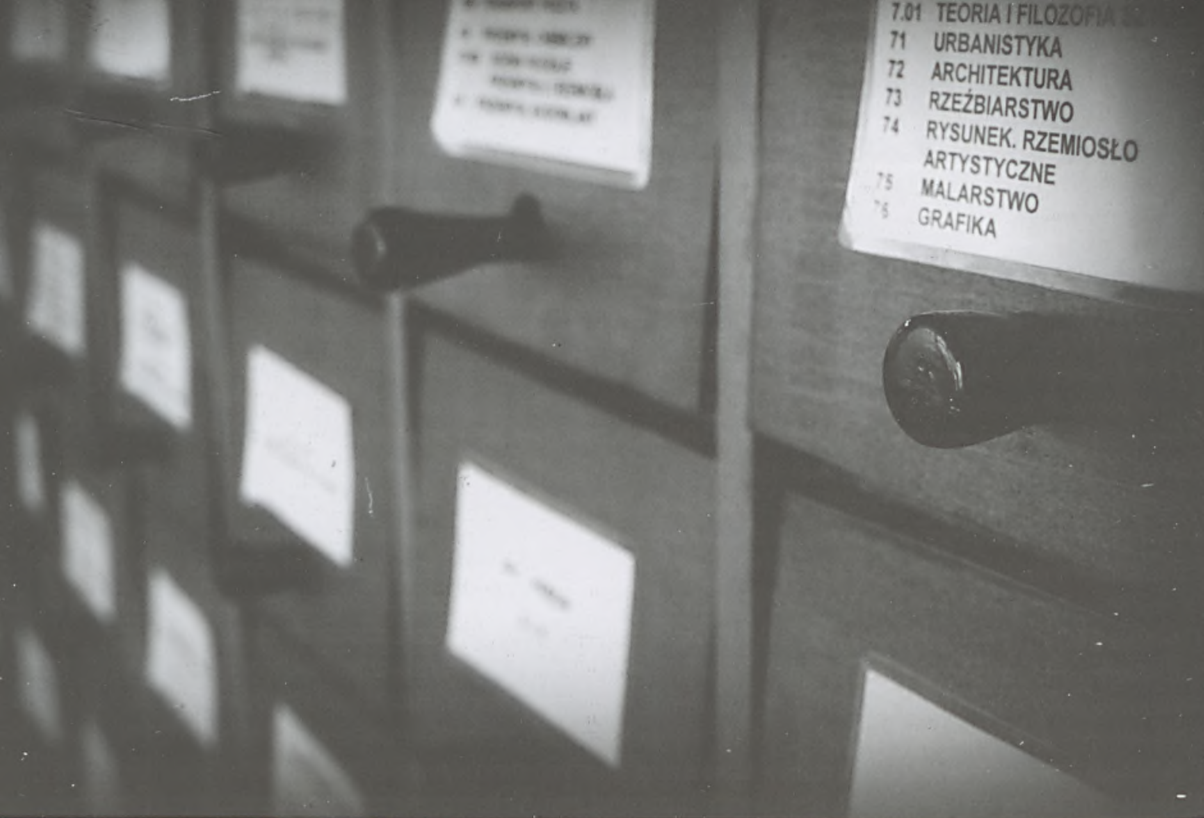
Stoję przed zniszczoną, ponadstuletnią willą. Mam wrażenie (choć dawne zdjęcia temu przeczą), że stare rzeźby są razem z nią od zawsze... Zakochani od zawsze trwają w mocnym uścisku, i pewnie będą tak trwali. Nie przeszkadza im nawet mech, który zakrył już prawie zupełnie twarz mężczyzny. Dalej kwiaciarka z dzbankiem i bukietem kwiatów. Kiedyś stała w miejscu zegara, tak mówią mi stare fotografie, ale jakoś nie mogę uwierzyć, że była na oczach wszystkich, skoro dziś cichutko i dyskretnie schowana w zieleni. Pewnie już tam zostanie, nie upominając się o spojrzenie i pracowicie trzymając ten swój wazon i ciężkie kamienne kwiaty...

Po drugiej stronie ogromna kamienna waza, po której ślizga się niepewnie światło... Chciałabym powiedzieć głośno: spójrzcie na te cienie!, ale kto ma mnie usłyszeć i po co...

I jeszcze te tajemnice... balkon, na który nie ma i nigdy pewnie nie było wyjścia, zatopiona w tylnej ścianie budynku zniszczona kolumna (druga, śnieżnobiała znajduje się w środku) i zegar, który nigdy nie wskaże nam czasu. Dopiero gdy poczytamy o jego historii, dowiemy się, że kiedyś wypełniał swój obowiązek pokornie i pilnie, ale może lepiej nie czytać i wierzyć w inne zegary...

*

Czuję chłód starych murów. Słyszę trzeszczenie podłogi, dźwięk drzwi otwieranych mosiężnymi klamkami, szuranie krzesłami na sali













wystawienniczej. Dźwięki. Codzienne dźwięki budynku. Biegnę tam, gdzie książki. Tam cisza... Rzędy woluminów. Smugi światła biegną po nich, niepewne czy można... Chwytam je w obiektyw.

*

W maju, przez tę cudowną chwilę gdy różowe płatki kwiatów wiśni spadają pod nogi kamiennej kwiaciarki, odbywa się Tydzień Bibliotek zwieńczony Dniem Bibliotekarza – świętem tych, którzy na co dzień obcują z ciszą książek. Przystańmy wtedy, bibliotekarze tak bardzo chcieliby się nią podzielić...

Marta Wiktoria Trojanowska



fot. S.Z.Kamieński

O radomskiej rzeźbie pomnikowej (część trzydziesta pierwsza)

O niewesołych dzieciach z kilku pomników

Stanisław Zbigniew Kamieński

Dzieci nie są przeważnie samodzielne, chyba że samodzielność wymuszą na nich ekstremalne warunki życia, pozbawiając tym samym dzieciństwa. Podobnie ma się rzecz z ich pomnikami; dzieci pojawiają się na pomnikach w towarzystwie, pod opieką dorosłych, chyba że wyjątkowe okoliczności wynoszą na cokoły same dzieci. Istnieją, jak się domyślam, dwie najliczniejsze grupy pomników, na które wstępują dzieci, pierwsza z nich sławi macierzyństwo, miłość i instynkt rodzicielski, samozachowawczy; tu dzieci pojawiają się najczęściej z matkami. Druga grupa pokazuje uwikłanie dzieci w wojny dorosłych, w obce im jeszcze szaleństwo zagłady. Pisząc to, uświadamiam sobie, że wiele rzeźb pomnikowych łączy oba te motywy, wzmacniając tym samym ich wyraz emocjonalny. Ale czy pomniki nie powstają w ogóle po to, aby grać na ludzkich emocjach i uczuciach – jednostkowych, społecznych, narodowych?

Zatrzymuję dziś uwagę na czterech pomnikach z postaciami dzieci, trzy sławią bohaterstwo wymuszone przez wojnę, czwarty opiewa czas pokoju. Pierwszy opisywałem już parokrotnie, to radomski pomnik Wdzięczności Armii Czerwonej, dwa inne stoją w Warszawie, mam na myśli pomnik Małego Powstańca oraz Janusza Korczaka z dziećmi. Wśród pięciu postaci na pomniku w Radomiu, dwie to dzieci. Kobieta stojąca między żołnierzami sowieckim i polskim, reprezentująca wyzwoloną ludność cywilną, trzyma na rękach małego, bosego chłopca, obok niej i polskiego żołnierza stoi kilkuletnia dziewczynka.

Kiedy oglądam na zdjęciach z lat 50. moją siostrę, kojarzy mi się z dziewczynką z pomnika Wdzięczności; mają ze sobą coś wspólnego, choć nie potrafię powiedzieć, co dokładnie. Moja siostra jest na tamtych zdjęciach oczywiście ładniejsza od poobtłukiwanej, oszpeconej przez kolejne przeprowadzki pomnikowej dziewczynki, jakby naburmuszonej z powodu konieczności wystawania z dorosłymi nie wiadomo po co. Moja siostra ma we włosach dużą kokardę, której tamtej brak, ale obie są w podobnych sukienkach czy płaszczykach, przerobionych zapewne z ubrań swoich mam i, jak przypominam sobie wygląd dzieci z tamtych lat, w białych prążkowanych rajtuzach. Może łączy je jakaś niepewność w geście, spojrzeniu, tak obca współczesnym dzieciom, pewnym siebie, wygadanym, spoglądającym bez obaw na dorosłych?

Rzeźba „Dziecko bohater", prototyp miniaturowego monumentu małego żołnierza, powstała w 1946 r., kiedy jej twórca, Jerzy Jarnuszkiewicz, późniejszy wybitny polski rzeźbiarz i pedagog związany z warszawską ASP, nie był jeszcze studentem tej uczelni. Przedstawia jednego z najmłodszych uczestników Powstania Warszawskiego, kilkuletniego chłopca w niemieckim dorosłym hełmie z polskim orzełkiem i biało-czerwoną opaską, w za dużych butach i płaszczu, z zawieszonym na szyi pistoletem maszynowym. Statuetka funkcjonowała przez dziesiątki lat w licznych kopiach, zanim, w większej skali, jako brązowy odlew, stanęła na cokole wśród ceglanych murów na Starym Mieście w Warszawie. Pomnik Małego Powstańca został odsłonięty 1 października 1983 r., rok później umieszczono przy nim tablicę z napisem: „Warszawskie dzieci pójdziemy w bój / za każdy kamień twój / Stolico damy krew". ST.R.DOBROWOLSKI. W HOŁDZIE BOHATERSKIM RÓWIEŚNIKOM HARCERZE CHORĄGWI STOŁECZNEJ ZHP IM. BOHATERÓW WARSZAWY. 1 X 1984.

Trzeci pomnik, obrazujący wojenne losy dzieci, stoi w parku przy Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie od strony ul. Świętokrzyskiej. Przedstawia Janusza Korczaka z dziećmi w różnym wieku. Najmniejsza dziewczynka, być może niewiele starsza od tej z radomskiego monumentu, trzyma w opuszczonych rękach lalkę. Pomnik jest usytuowany w miejscu, w którym w czasie wojny mieścił się sierociniec kierowany przez Korczaka. Przypomnę: Janusz Korczak, Żyd-Polak, razem z innymi pracownikami i swoimi podopiecznymi (około 200 dzieci) z Domu Sierot zostali wyprowadzeni przez hitlerowców na Umschlagplatz i wywiezieni do obozu zagłady w Treblince, podczas likwidacji warszawskiego getta. Ich śmierć nastąpiła prawdopodobnie 5 sierpnia 1942 r.

W Warszawie znajdują się trzy pomniki Janusza Korczaka, ten, o którym piszę, powstał najpóźniej, odsłonięto go 1 czerwca 2006 r., w Dniu Dziecka. Autorem jest Bohdan Chmielewski (współpracujący z architektem Zbigniewem Wilmą), siedmiometrowe drzewo, na tle którego stoi odlana w brązie grupa siedmiu postaci i które ma budzić skojarzenie z menorą, siedmioramiennym świecznikiem żydowskim, wykuł w granicie Zbigniew Mikielewicz. Bohdan Chmielewski znany jest warszawiakom przede wszystkim jako twórca innego monumentu, mającego krótki żywot (1985–1991), nazywanego popularnie pomnikiem utrwalaczy władzy ludowej.

Nie wspomniałem dotąd o formie wymienionych pomników, o ich stronie estetycznej; można powiedzieć, że wszystkie trzy reprezentują różne odmiany realizmu. Pierwszy, radomski (autorstwa, przypomnę, Józefa Gazy'ego), to typowy produkt socrealizmu z pierwszej połowy lat 50. Wczesna rzeźba Jarnuszkiewicza, choć w powszechnej opinii uchodzi za jego najważniejsze dokonanie twórcze, jest wzruszającą, martyrologiczną maskotką, zamieniona zaś na pomnik stała się świecką figurą dewocyjną, jak nazwał ją inny znany współczesny rzeźbiarz, także autor pomników. Postaci z rzeźby Chmielewskiego poddane zostały pretensjonalnej, naiwnej stylizacji w postsocrealistycznym duchu. Kiedy oglądam fotografie świetnej, przejmującej rzeźby Borisa Saktsiera z 1978 r. Korczak i Dzieci Getta z Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie, żałuję, że w miejscu warszawskiego pomnika nie mogła stanąć lepsza współczesna rzeźba, która potrafiłaby udźwignąć ideę solidarności i męstwa w czasach zagłady.

Wszystkie trzy pomniki, którymi tu się zajmuję, w mniejszym lub większym stopniu zostały uwikłane w politykę. Inaczej być nie może w przypadku monumentów odnoszących się do wojny, będącej krańcową formą polityki. Pomnik Wdzięczności Armii Czerwonej ma polityczny charakter w sposób oczywisty, cóż



fot. S.Z.Kamieński

Pomnik Janusza Korczaka z dziećmi w Warszawie

jednak mają z nią wspólnego dwa pozostałe? Nie znalazłem żadnych dowodów na poparcie mojej tezy, którą można zaliczyć do tzw. teorii spiskowych, ale sądzę, że data odsłonięcia pomnika Małego Powstańca w Warszawie, przypadająca na ponury czas po stanie wojennym, była na rękę skompromitowanej władzy PRL, która chciała zagrać w ten sposób na patriotycznych uczuciach warszawiaków, angażując w to przedsięwzięcie kombatantów – byłych uczestników Powstania – i harcerzy – rówieśników najmłodszych powstańców. Ten czynnik, zdobycie społecznego poparcia, był wówczas ważniejszy od obaw o reakcję ZSRR na manifestację patriotyzmu, w pewnej mierze – antysowieckiego. Również względy polityczne – powracające fale nagonek antyżydowskich, tzw. walka z międzynarodowym syjonizmem, przyczyniły się do tego, że idea budowy w centrum Warszawy pomnika Janusza Korczaka z dziećmi musiała czekać 60 lat na swoją realizację.

Pojawia się wreszcie w moim tekście miejsce dla innego radomskiego pomnika, który w opozycji do tamtych zdaje się szczęśliwym pomnikiem ojca i dziecka, Jana Kochanowskiego z Urszulką, ale w snujących się na kolanach poety i w książce, którą trzyma w ręku, niciach Prządek, zapisany już został wyrok losu dziewczynki. Pisałem o tym pomniku (autorstwa Jana Kucza) pięć lat temu, niedługo po jego odsłonięciu. Wówczas chciałem widzieć w przedstawionej scenie, poza wszystkimi symbolicznymi odniesieniami, zatrzymaną chwilę bycia razem ojca i córki, choć Urszulka zmarła nie doczekawszy podobno trzecich urodzin, a dziewczynka z pomnika jest na pewno o kilka lat starsza. Licencja poetycka może wspomóc prawdę historyczną czy naukowe przypuszczenia – gotów byłem myśleć. Dziś jakbym już nie dowierzał uchwyconej chwili szczęścia na ziemi w tym rzeźbiarskim obrazie. Urszulka staje się wyobrażeniem, zjawą, uosobieniem tęsknoty i bólu ojca i jednocześnie natchnienia poety. Pogrążone w zadumie twarze obydwojga zadają sobie i nam to samo pytanie, kładąc na szalach wagi ludzkie życie i genialne dzieło artysty.

Czyżby miejsca na pomnikach były zarezerwowane dla dzieci doświadczonych mickiewiczowską goryczą istnienia?

Stanisław Zbigniew Kamieński

13–18.05.2014 r.

Z notatnika malarza ikon

Drabina (część X)

Michał Płoski

Dziesiąty rozdział *Drabiny raju* św. Jana Klimaka zatytułowany „O oszczerstwie" poświęcony jest niesprawiedliwemu osądowi bliźnich. Poprzednie rozdziały traktowały o nienawiści i pamiętaniu o krzywdzie. Gdy nie radzimy sobie z negatywnymi uczuciami, gdy nosimy w sobie głębokie, nieuleczalne zranienia, łatwo możemy potępić innego człowieka. Klimak przestrzega przed takim osądem, bowiem nieoczekiwanie mogą odmienić się losy naszych bliźnich; wszak Judasz był w gronie uczniów, a dobry łotr – morderców. Wybitny myśliciel prawosławia M.A. Bierdiajew, komentując ten fragment *Drabiny raju,* zauważył, że moralność ewangeliczna odrzuca moralność formalnoprawną. U podstaw ewangelicznej etyki leży stosunek do człowieka, do żywej istoty, do osoby, a nie do abstrakcyjnego dobra. Chrześcijaństwo nie polega bowiem na przyjęciu systemu etyki normatywnej, ale na spotkaniu z Panem Jezusem. Z tym spostrzeżeniem współbrzmi wypowiedź Benedykta XVI zawarta w encyklice „Deus Caritas": „u początku bycia chrześcijaninem nie ma decyzji etycznej czy jakiejś wielkiej idei, jest natomiast spotkanie z wydarzeniem, z Osobą, która nadaje życiu nową perspektywę, a tym samym decydujące ukierunkowanie"[1]. Podstawą więc jest osobista więź z Panem Jezusem wyrosła z modlitwy; nowa perspektywa związana ze sferą najgłębszą – poufałym obcowaniem z Bogiem, w przeświadczeniu, że jest On miłością, że akceptuje każdego grzesznego człowieka. Bóg nigdy nie odrzuca nikogo, nikogo nie przekreśla. Potrzeba akceptacji siebie i innych, pomimo naszej grzeszności, słabości, zranień. Wszyscy jesteśmy grzeszni, stale naruszmy zasady etyczne, ale także stale powraca w nas – choćbyśmy zepchnęli je na dno serca – pragnienie wybaczenia, pojednania, zjednoczenia z Tym, który nas pierwszy umiłował. Trudne wyzwanie: sprzeciw wobec grzechu, przy jednoczesnej akceptacji naszej grzeszności.

W wizji *Drabiny raju* wady upostaciowione są przez demony. Zło, które atakuje człowieka, jest zewnętrzne, jest poza nim. „Jeśli ktoś

[1] Benedykt XVI, encyklika „Deus Caritas est".

pragnie pokonać ducha oszczerstwa – pisał Klimak – ten niech przypisuje winę nie temu, co upadł, ale podszeptującemu demonowi. Bo nikt nie chce grzeszyć przeciw Bogu, choć każdemu z nas zdarza się to bez przymusu"[2].

W prawosławiu żywa jest pamięć o dobrym łotrze, zwanym także rozbójnikiem. Pewna XVIII-wieczna ikona przedstawia go przywiązanego do krzyża powrozami, co nie przeszkadza mu wskazywać ręką na Pana Jezusa. W liturgii św. Jana Złotoustego, przed śpiewem błogosławieństw z kazania na górze, cerkiew modli się słowami rozbójnika: „W królestwie Twoim wspomnij nas Panie..."[3]. Zaś w modlitwie przed komunią powtarzane są słowa: „Przyjmij mnie dzisiaj Synu Boży jako uczestnika Twojej Mistycznej Wieczerzy, albowiem nie zdradzę wrogom Twej tajemnicy, ani też nie ucałuję Ciebie jak Judasz, lecz jak łotr wyznaję Ci: wspomnij mnie, Panie, w królestwie Swoim"[4]. Potępienie zła, grzechu nie usprawiedliwia nigdy potępienia człowieka. Klimak pisał: „Chociażbyś zobaczył kogoś grzeszącego w chwili jego śmierci, nie osądzaj go nawet wtedy. Bo wyrok Boga niewiadomy jest dla ludzi. Niektórzy jawnie bardzo grzeszyli, ale większe dobro czynili w ukryciu; i goniąc za dymem zamiast za światłem słońca, oszukali się ci, którzy lubili z nich szydzić"[5].

Wskazania św. Jana Klimaka znajdują odbicie w zasadach dotyczących malarzy ikon. Przed rozpoczęciem pracy należy darować swoim winowajcom. Nie powinno się malować w sytuacji, gdy odczuwamy nienawiść do kogokolwiek lub rozpamiętujemy doznane krzywdy. Uważa się, że złe uczucia malarza mogą ujemnie oddziaływać na formę malarską. Zaleca się także, aby nie osądzać efektów pracy innych malarzy. Wskazywanie błędów kolegów nie jest rolą malarza ikon. Nie wolno być zazdrosnym o pracę swego bliźniego, gdyż jego powodzenie należy również do nas. Praca malarza ikon jest rodzajem posługi liturgicznej. Podobnie jak w wypadku homilii czy cerkiewnych śpiewów forma jest ważna, najważniejsza jest jednak predyspozycja serca – pokora i otwartość na tajemnicze działanie Świętego Ducha.

Ikona jest znakiem obecności, drogą ku spotkaniu. Ikona nie wyraża norm etycznych. Pan Jezus, Matka Boża, święci zwróceni są do nas twarzą; patrząc na ikonę, wchodzimy niejako w kontakt z nimi. Ikony świąteczne zaś wprowadzają nas w wydarzenia zbawcze. Ikony mają więc służyć owemu spotkaniu z wydarzeniem, z Osobą, która nadaje życiu nową perspektywę, że posłużę się określeniem z encykliki Ojca Świętego.

Diabła i Judasza maluje się zawsze z profilu, aby nie wchodzili oni w relację z patrzącym na ikonę. Demony zresztą występują na ikonach bardzo rzadko. Sceny strasznego sądu czy rajskiej drabiny, według wizji św. Jana Klimaka, należą do wyjątkowych przedstawień, w których są obecne owe czarne sylwetki ustawione bokiem do widza.

Obcowanie z ikonami może pomóc nam zdystansować się od osądu bliźnich, pomóc unikać oszczerczych wypowiedzi. Ikony przypominają, że Bóg nigdy nie odwraca się od człowieka, choćby nawet człowiek odwrócił się od Boga. Pan Jezus przyszedł nie do sprawiedliwych, ale do grzeszników, a spotkanie z Nim prowadzi do wyzwolenia z ciemności zła.

Michał Płoski

[2] św. Jan Klimak, *Drabina raju*, tłum. W. Polanowski, Kęty 2011, Wyd. M. Derewiecki, s. 184.
[3] Święta liturgia św. Jana Złotoustego, Białystok 2008, s. 43.
[4] Jak wyżej, s. 86.
[5] św. Jan Klimak, *Drabina raju*, tłum. W. Polanowski, Kęty 2011, Wyd. M. Derewiecki, s. 184.

Melancholia i nostalgia utopijnej powieści fantastycznonaukowej: Bradbury i Houellbecq

Jerzy Stachowicz

Raya Bradbury'ego łączy się zwykle ze złotą erą literatury science fiction (Golden Age of Science Fiction 1930–1959), kiedy książki SF dostarczały rozrywki na naprawdę wysokim poziomie, a przy tym zabierały głos w sprawach, które nurtowały wówczas wybitne umysły naukowe i światową opinię publiczną. Taka była literatura mojego dzieciństwa, bo choć dorastałem w zupełnie innych (o wiele późniejszych) czasach, to książki kupowane przez moich rodziców często były spóźnionymi o dziesiątki lat polskimi przekładami zachodniej klasyki fantastycznonaukowej. Z wypiekami na twarzy czytałem też almanach „Kroki w nieznane...", który, choć wydawany w latach 70., a więc u schyłku dominacji SF w fantastyce, w pełni oddawał ducha złotej ery. Po dawce opowiadań (najlepszych danego roku) zamieszczano tam eseje poważnych naukowców (przeważnie radzieckich) komentujących najciekawsze i najbardziej kontrowersyjne teorie naukowe (czarne dziury, wszechświaty równoległe itp.). Ale z Bradburym zetknąłem się po raz pierwszy w telewizji i było to dla małego chłopca zdarzenie niezapomniane. Animowana ekranizacja najbardziej wstrząsającego fragmentu *Kronik Marsjańskich*, opowiadania *Łagodne spadną deszcze*, pokazywała Ziemię po zagładzie atomowej... Samotny, jedyny ocalały budynek – dom jednorodzinny, dom automat, w którym pozostały jedynie gadające sprzęty AGD oraz prochy, cienie ludzi, którzy tu mieszkali. I choć mieszkańców już nie ma, zrobotyzowana kuchnia przygotowuje kolejny posiłek, proponuje lekkie rozrywki, umila czas muzyką itp.

Upadek, zagłada, powolne gaśnięcie cywilizacji to właśnie temat słynnych antyutopii Bradbury'ego. Lęk przed nagłą katastrofą wywołaną nierozważnym naciśnięciem „atomowego guzika" rozpętał swego rodzaju zbiorową histerię w początkach zimnej wojny. Ludzie masowo budowali atomowe schrony i wpatrywali się z lękiem w niebo, z którego miał nadejść koniec. Choć z dzisiejszego punktu widzenia była to jedynie, jak powiedziałby Baudrillard, „iluzja końca", to pozwoliła rozwinąć Bradbury'emu ponurą, lecz niesamowicie uwodzicielską wizję. W swoich *Kronikach Marsjańskich* (1950) pokazuje dwie ginące cywilizacje: utopijną marsjańską oraz antyutopijną ziemską. Marsjanie – już sam wybór kosmitów wskazuje na romantyczny okres sprzed czasów, kiedy zimna wojna na dobre przeniosła się w kosmos – to cywilizacja idealna: „wiedzieli jak żyć i współżyć z naturą. Nie starali się usilnie pozbyć pierwiastka zwierzęcego i pozostać wyłącznie ludźmi". Jednocześnie ta wspaniała cywilizacja popełnia błąd, nie doceniając ludzi – nie chce dopuścić do jakichkolwiek z nimi kontaktów. Świat Marsjan zdawał się staroświecki chyba już w momencie powstawania *Kronik...*, ale ta anachroniczność jeszcze bardziej podkreśla utopijność wizji.

Ludzie przyszłości w *Kronikach* to ludzie przełomu XX i XXI w. – osobnicy, którzy dzięki psychoanalizie Freuda, ewolucjonizmowi Darwina i rozwojowi techniki zabili sztukę i religię, a wybrali skrajnie konsumpcyjny model życia. Zniszczyli wielkie narracje poruszające ich kulturę i zastąpili je pustką pełnej reklamówki. W końcu taka „zepsuta" grupa amerykańskich „rednecków" przybywa na Marsa i niechcący zabija liczącą miliony lat wyrafinowaną cywilizację w prozaiczny sposób – zarażając ją ospą. Ta naprawdę ostra krytyka cywilizacji zachodniej z lat 50. sprawia wrażenie napisanej w ostatnich latach. U Bradbury'ego hedonizm pozwala chwilowo zapomnieć o bardzo realnej możliwości zagłady, jednak postęp gospodarczo-technicz-

ny nie wykorzenił największych ludzkich wad, dlatego musi w końcu wybuchnąć ta ostatnia wojna. Mimo wojennego tematu czytelnik nie znajdzie w *Kronikach* batalistycznych scen. Znajdzie za to smutek, nostalgię i melancholię. „Każda melancholia zaczyna się od myśli o tym, czego nie ma", pisze Bieńczyk – u Bradbury'ego nie ma już prawdziwej sztuki, wolnego słowa, nieskrępowanej wyobraźni. Jest obsesyjna za nimi tęsknota, nie tyle bohaterów, ile samego autora. A sami bohaterowie to ostatni niekonsumenci – tragiczni i romantyczni – idealiści, którzy wiedzą, że nie ma już dla nich miejsca w nowoczesnym świecie. Nad ich umiłowaniem nieskrępowanej aktywności twórczej znęca się Służba Kontroli Klimatów Moralnych – wszechwładna organizacja cenzorska.

Nieprzypadkowo w *Kronikach Marsjańskich* pełno odniesień do literatury XIX w., a zwłaszcza do romantyzmu: do Poego, Stendhala, Byrona. Świat antyutopii Bradbury'ego to świat, w którym w imię dobra ludzkości zakazano czytania takiej literatury – wybitnej, ale przenikniętej melancholią, mrocznej.

Złota Era fantastyki skończyła się dziesiątki lat temu, lecz niedawno z otchłani ponurych pornograficzno-antykorporacyjnych wizji wychynął Michel Houellbecq, oddany wielbiciel Lovecrafta, jednej z najdziwniejszych postaci świata literatury fantastycznej. Jednak, choć sam wskazuje właśnie Samotnika z Providence jako swego mistrza, to widzę w nim dziedzica melancholijnych antyutopii zimnowojennych. W swojej antyutopijnej już z nazwy *Możliwości Wyspy* francuski skandalista oddaje wreszcie pełny hołd swym mistrzom, tworząc fantastykę nostalgiczną, co zresztą pominięte jest milczeniem przez recenzentów, zwłaszcza w Polsce, skupionych na wątku sex-fiction.

Houellbecq nawiązuje polemikę ze słynną antyutopią Huxleya *Wyspą* (1962) oraz komplementarną wobec niej wcześniejszą książką – *Nowym Wspaniałym Światem*. Pokazuje, że właśnie we współczesnym konsumpcyjnym społeczeństwie spełnia się wizja wszechobecnej narzuconej wolności obyczajowej, która prowadzi do zagłady cywilizacji poprzez wypalenie energii życiowej ludzi. Autor pastwi się nad współczesnością, a jego samotny, seksualnie sfrustrowany bohater Daniel czuje ciężar kończącego się Świata. Ratunkiem ma być nowe społeczeństwo ludzi klonów stwarzających sobie iluzję nieśmiertelności. Ludzie przyszłości, efekt tego eksperymentu, to samotnicy żyjący w zautomatyzowanych posiadłościach, z rzadka nawiązując elektroniczne kontakty z innymi, sobie podobnymi. Proponowana tu podwójnie antutopijna wizja przyszłości (bo jest antyhuxleyowska i antyzachodnia) jest skrajnie pesymistyczna, ale też stanowi okrutny komentarz do filozofii New Age.

Czytelnik, który przetrawi seksualno-rasową niepoprawność polityczną książki, staje wobec swego rodzaju kontynuacji antyutopijnych wizji Bradbury'ego. Obraz powolnego wygasania cywilizacji i sposób pisania o niej przypomina bardzo *Kroniki Marsjańskie* w wersji melancholijnego hard-porno. Daniel z *Możliwości Wyspy* to jednocześnie postać jakby wyjęta z opowiadań Bradbury'ego, smutna, tragiczna w swej tęsknocie za dawnymi czasami, do których nie ma już powrotu. Houellbecq wpisuje się więc mocno w tradycje złotej ery, tworząc kolejną antyutopię w nostalgicznym stylu, której bohaterami są „ci, którzy nigdy nie odnajdą straty", a przez swoje nawiązania odsłania się. Spod maski skandalisty obyczajowego, który przywraca francuskiej kulturze blask dawnej chwały zepsucia i rozpusty, wygląda romantyczny wielbiciel amerykańskiej kultury popularnej. Dla wielbiciela fantastyki naukowej Houellbecq nigdy nie zostanie więc pisarzem nowatorskim, a raczej autorem świetnego pastiszu i konserwatystą pielęgnującym najlepsze tradycje w dobrym stylu.

Jerzy Stachowicz

Urodzony w 1978 r. w Radomiu, gdzie skończył VI LO im. Jana Kochanowskiego. Doktor kulturoznawstwa, publicysta „Nowej Fantastyki", współautor książki *Śniąc o potędze*. Obecnie mieszka w Warszawie.

Golasek z porzuconej fotografii

Marta Wiktoria Trojanowska

„...chyba oddała je dziewczyna, która chciała pozbyć się wszystkiego po zmarłej matce. Ale tyle tutaj tych zdjęć, nie pamiętam dokładnie, czy to akurat te" – usłyszałam w antykwariacie, kiedy zapytałam zajętą podręcznikami szkolnymi sprzedawczynię, czy pamięta kto i dlaczego oddał leżące przede mną stare fotografie. Powrzucane do pudełka, pomieszane, z pogiętymi rogami, niektóre pokryte jakimś dziwnym nalotem – aż strach było dotykać... A wśród nich golasek. Jak gdyby nigdy nic i jakby nikt go nigdy nie porzucił...

*

Staram się nie kupować starych fotografii – chciałabym zabrać ze sobą te wszystkie stare twarze i ocalić przed czymś, co i mnie kiedyś spotka. Przywiązuję się do nich – myślę o nich zbyt dużo. Powinnam przecież myśleć o żywych, a nie układać historie umarłych. Raz zrobiłam wyjątek dla jednej dziewczyny w komunijnej sukience. Była tak strasznie brzydka, że i tak chyba nikt by jej nie przygarnął. I dla Niusia. Przynajmniej tak jest podpisany na rewersie zdjęcia ten mały, pewnie niewiele wówczas ponaddwuletni golasek.

Teraz by to nie przeszło. Czasy się zmieniły. Teraz fotograf byłby podejrzany, bo chłopczyk ze zdjęcia dawno przekroczył niemowlęcy wiek. Teraz takie zdjęcie wzbudziłoby niepokój: czy jeszcze można, czy jeszcze wypada ubrać chłopczyka tylko w sztuczne kwiaty, no i poprosić pana fotografa o zrobienie zdjęcia... Kiedyś nie było takich dylematów. Nie było niepokoju, czy można, czy potrzeba, co najwyżej o chłopcu nikt wcale nie pomyślał, że wstydzić się będzie tych kwiatków i dziecięcej golizny. Bo na fotografii nie ma nawet pieluszki. Siedzi z tymi kwiatami na kolankach, jak go pan Bóg stworzył. Pewnie go te kwiatki gilgotały w nóżki i w nagie plecki. Ale on siedzi uśmiechnięty, ciekawy. Nie ma tu żadnej wymuszonej pozy – tak często widzianej na starych fotografiach: dzieci w nienaturalnym zgięciach, w napięciem na twarzy: nie ruszaj się, poczekaj, nie płacz, jeszcze chwilę, zobacz, leci ptaszek za panem fotografem... Wręcz przeciwnie, jest rzadko spotykana na starych fotografiach ciekawość i radość. A może dlatego, że mały golasek znał pana fotografa, może z jego rodziny, i dlatego tak swobodnie się czuł?

*

„Jeszcze długo po wojnie widziałam w witrynach zakładów fotograficznych zdjęcia takich golasków, jeszcze niechodzących, leżących wygodnie na baranich skórach..." – usłyszałam od radomianki, rocznik '39, kiedy pokazałam jej zdjęcie. Właśnie dlatego tak bardzo fascynuje mnie ta fotografia – że dzisiaj pewnie... nie byłaby zrobiona, a przynajmniej nie w takiej formie. Dzisiaj chłopczyk na pewno nie byłby golaskiem i na pewno nie gilgotałyby go sztuczne kwiaty. A je-



fot. archiwum

śli nawet golaskiem – to w pampersie, a „słit focię" zrobiłaby mu jego mama na rodzinnej kanapie, bez baraniej skóry... Ba! Nie udałby się już nawet taki uroczy światłocień na dziecięcej buźce. Wszystko przecież być musi dzisiaj ostre i widoczne... Dzisiaj nie byłoby już uroczystego wyjścia do pana fotografa, na ul. Lubelską pod numer 51. Właśnie tam zakład swój prowadził Stanisław Sybilski – autor fotografii. Nie wiem, czy mały chłopczyk odwiedził go z mamą na ul. Lubelskiej, czy już na Żeromskiego. Zdjęcie nie ma daty – jak zawsze, kiedy mieć ją powinno. Ale raczej już na Żeromskiego i na pewno przed wojną. Sybilski w latach 20. odkupił zakład fotograficzny od pierwszego znanego radomskiego fotografa – Józefa Grodzickiego, aby kontynuować dzieło poprzednika. Małgorzata Rusek w jednym z odcinków „Fotoplastykonu: magicznego Radomia" pisze o zakładzie Sybilskego: „Nadal zaglądało tu wielu radomian, aby uwiecznić moment zaślubin, chrzcin dziecka, awansu wojskowego. Na wielu fotografiach sygnowanych przez Sybilskiego wciąż można się dopatrzyć malowanych pejzaży z pracowni Grodzickiego".

W radomskiej prasie ze świecą jednak szukać całostronicowych bogatych ogłoszeń z czasów Grodzickiego, na którego sławie jeszcze długo bazował. Ot: „Zakład fotograficzny. St. Sybliski".

Sybliski spoczywa w rodzinnym grobowcu. Zostało po nim wyryte w kamieniu imię, nazwisko i data śmierci. Chociaż w „Życiu Radomskim" z 1947 r. żegnali go wiernie skromnym nekrologiem „koledzy fotografowie", obwieszczając, że nabożeństwo żałobne odbędzie się w kościele farnym „dnia 2 lipca o 9-tej rano" i że mistrzem był, i prezesem fotografów, na grobie nie ma nawet skromnego napisu: fotograf. Piszę o tym dlatego, że w zasadzie popadł w zapomnienie. Jego nazwisko przewinęło się może jeszcze tylko na niedawnej wystawie w radomskim muzeum poświęconej radomianom na starych fotografiach... A i tak więcej miał szczęścia niż jego wielki poprzednik. Nie wiadomo przecież do dzisiaj, w którym dokładnie miejscu na radomskim cmentarzu spoczywa Grodzicki... Na Żeromskiego pod numerem 51 mieści się do dzisiaj zakład fotograficzny...

Zostały zdjęcia radomian. I fotografia Niuśka – przedwojennego dzieciaka, małego golaska. Ale historia fotografii tutaj się nie kończy. Niusiek być może był potem długo panem Nikodemem, ale zanim nim został, jego uroczą dziecięcą fotografię, zaraz po odebraniu od pana Sybilskiego, podpisała matula: „Drogiej Mamie chrzestnej od chreśniaka (nieczytelne) Niusia". Jak długo mama chrzestna chłopczyka trzymała to zdjęcie i w jakich okolicznościach go od niego dostała, nie wiem, choć bardzo, BARDZO bym to wiedzieć chciała... Przetrwało wojnę i pokryte pyłem – aż strach dotknąć – znalazło się w pudełku razem z brzydką dziewczynką w komunijnej sukience. Oboje, być może, porzuciła dziewczyna, chcąc się pozbyć wszystkiego po swej zmarłej matce...

Marta Wiktoria Trojanowska

Oko w oko

Dorota Majkowska-Szajer

Fotografowanie jest dzisiaj gestem oczywistym. Coraz trudniej nam sobie wyobrazić, że moglibyśmy rzeczywiście coś przeżyć bez upamiętnienia tego faktu za pomocą aparatu – dziś każdy ma go stale przy sobie, w kieszeni. Najbardziej wdzięcznym obiektem przed obiektywem są dzieci. Robienie im zdjęć ma nawet wymiar konieczności, przed którą nie wolno się uchylać: one tak szybko się zmieniają! Z dnia na dzień przybywa powodów do upamiętniania: nowy włos, nowy ząb, pierwszy krok, pierwszy samodzielny posiłek. Systematyczne relacje na profilach społecznościowych mają być niepodważalnym dowodem rodzinnego szczęścia.

W klasycznym już dziś eseju „O fotografii" (opublikowanym po raz pierwszy w latach 70. XX w.) Susan Sontag pisała, że we Francji większość rodzin ma aparaty fotograficzne, a badania wskazują, że urządzenia te dwa razy częściej spotkać można w domach, w których wychowują się dzieci, niż w rodzinach bezdzietnych. „Niefotografowanie własnych dzieci, zwłaszcza gdy są małe, bywa odbierane jako oznaka rodzicielskiej obojętności" – pisała Sontag.

Urodziłam się mniej więcej w tamtych czasach, tyle że w Polsce, w Radomiu. Choć aparaty fotograficzne i u nas były dość popularne, w dzieciństwie nie fotografowano mnie zbyt często (szczęśliwie fakt ten nie kazał mi zwątpić w uczucia rodziców). Z czasów zanim poszłam do szkoły, mam tylko jedno zdjęcie – typowe ujęcie na kolanach Mikołaja.

Z tego zdjęcia patrzy na mnie dziewczynka, której prawie nie pamiętam. Nie pamiętam też uchwyconego na zdjęciu zdarzenia, chociaż przez lata wydawało mi się, że przechowuję w głowie jego powidoki. Wydawało mi się, że pamiętam salę, w której odbywała się zabawa choinkowa połączona z rozdawaniem jednakowych paczek, że było tam niemal zupełnie ciemno, a niewielki snop światła skupiał się na głównym bohaterze zdarzenia – tym ze zdjęcia. Trwałam w tym przekonaniu, aż pewnego dnia historia powróciła na rodzinne forum i starsza siostra opowiedziała mi, że cała sala była rzęsiście oświetlona. Dla siostry nie było to bez znaczenia, bo najadła się przeze mnie wstydu – wyrywając się po paczkę z prezentem, podobno zgubiłam but i siostra musiała na oczach wszystkich rodzin i pod presją innych oczekujących na swoją kolej dzieci jakoś tej sytuacji zaradzić. Zdjęcie całą tę sytuację przemilcza. W żaden sposób nie wykracza poza konwencję, nie podpowiada, co było przedtem i potem. Zresztą widać na nim tylko jedną moją nogę zwieńczoną czerwonym kozaczkiem. Druga stopa skryła się poza kadrem i nie wiem nawet, czy sfotografowano mnie ostatecznie w obu butach, czy nie.

Oczekiwanie wobec fotografii, że będzie dokładnym odwzorowaniem natury, że pokaże i utrwali dokładnie to co widać, czyli prawdę, szybko okazało się naiwne. Wnet po jej wynalezieniu przekonano się, że fotografia oszukuje – im bardziej, tym lepiej, bo przecież świat, jaki chcemy zapamiętać, powinien być piękny. Wiedzieli o tym dawni specjaliści od retuszu (podobno właśnie ten wynalazek wpłynął na popularność fotografii w połowie XIX w.), wiemy i my, żyjący w pełnej podejrzliwości erze Photoshopa. Wspomnienia mają być piękne i nas przedstawiać jako pięknych. Technologia coraz bardziej nam sprawę ułatwia. Pozwala też w nieskończoność multiplikować nasze wizerunki, łapczywie nastraja wobec świata, który można sobie obfotografować i trzymać w domu na jednym dysku. Sprowadza też na nas manię archiwizowania: skoro każdą chwilę można uchwycić, żeby ją zapamiętać, dlaczego się takiej możliwości pozbawiać, dlaczego pozwolić na to, żeby czas przeminął i przepadł? Tymczasem im bardziej odczuwamy potrzebę zatrzymywania tych chwil, tym bardziej zdajemy sobie sprawę, że zdjęcia – przedstawiając coś, czego już nie ma – stają się świadectwem nieubłaganego przemijania i kruchości – życia i świata.

Zdjęcia nie zatrzymają dla nas czasu. Pomogą przywrócić wspomnienia, ale nie pozwolą nam jeszcze raz przeżyć emocji na zabawie choinkowej w Domu Kultury „Walter", bezgranicznego zachwytu watą cukrową i oszałamiającymi kolorami balonów na druciku kupowanych na festynie w Amfiteatrze, nie wskrzeszą wiary w sens lepienia pączków z błota ani spędzania czasu na wkładaniu plastikowego minikurczaka do plastikowej minikuchenki czy udawanych zastrzykach wykonywanych za pomocą zestawu „Mały doktor". Nawet najlepsza fotografia nie przywróci smaku leniwych pierogów jedzonych z mamą w Bolku i Lolku na Żeromskiego

ani wiatru we włosach podczas przejażdżek na ramie tatowej ukrainy (raz, podczas powrotu z rowerowej wycieczki do Lasu Kapturskiego złapała nas burza – groza!).

Nawet, gdyby te wszystkie chwile zostały ujęte w kadr rodzinnej fotografii, związane z nimi uczucia, uczucia dziecka, pozostają w sferze ulotnych przeżyć, przeczuć, a może i zmyśleń. Jak dzisiaj sprawdzić, czy kiedy mama wyciągała mi spod skóry drzazgę albo opatrywała pozdzierane kolana, płakałam z bólu czy ze strachu? Skąd mam wiedzieć, dlaczego tak bardzo się zawstydziłam, gdy przez pomyłkę podbiegłam do cudzej rodziny plażującej na kocyku w Siczkach albo Białobrzegach? Jestem dzisiaj kimś innym, kimś, dla kogo niedostępna jest skala tamtych zdarzeń.

Kiedy patrzę na to jedyne swoje zdjęcie z dzieciństwa, nie umiem ocenić, czy jeszcze jakoś tę dziewczynkę przypominam. Ale przecież wiem, że to ja. Co jakiś czas ja i to dziecko ze zdjęcia wymieniamy spojrzenia. Ja próbuję zgadnąć, jak to było? Czy to rzeczywiście ja z przekonaniem „czytałam" książki do góry nogami, tęskniłam za smoczkiem, chowałam się pod pierzyną w obawie przed duchami? A ona patrzy na mnie tym niezbyt wesołym wzrokiem (z powodu zgubionego buta?) i pyta: co się stało, że nie rozumiesz takich prostych rzeczy? Dlaczego dałaś sobie wmówić, że Mikołaj to tylko facet z doklejoną brodą? I co masz zamiar zrobić z moimi marzeniami?

Jeśli ta dziewczynka ciągle czegoś ode mnie chce, to może jednak coś nas łączy?

Dorota Majkowska-Szajer

Urodzona w Radomiu, gdzie ukończyła VI LO im. Jana Kochanowskiego. Absolwentka Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Publikowała m.in. w „Kontekstach" i miesięczniku „Znak". Pracuje w Muzeum Etnograficznym im. Seweryna Udzieli w Krakowie.

Misja z pięciolinią w tle

Krzysztof Majerczyk

Na wstępie chcę się podzielić refleksją z wydarzenia muzycznego, które nie miało wielkich, szumnych anonsów prasowych. Mogło przemknąć bez echa, bez jakiegokolwiek, nawet bardzo lakonicznego komentarza w prasie, choć jego poziom artystyczny oraz frekwencja publiczności były pewne.

Szukałem pomysłu powiązanego z motywem przewodnim niniejszego numeru „Miesięcznika". Przyszedł sam... naturalnie. Spostrzegłem grupy dzieci zmierzające w kierunku siedziby Radomskiej Orkiestry Kameralnej i podążyłem ich tropem.

Poranek z orkiestrą

Dobiega końca siódmy sezon artystyczny naszej orkiestry. Przyzwyczaiła swoich sympatyków do regularnych koncertów na wysokim poziomie, z udziałem znanych i cenionych artystów. Czasem zaskakiwała radomian prestiżowym osiągnięciem, zaś melomanom wzbogaciła zbiory płytowe o cztery interesujące fonogramy. O tym pisaliśmy niejednokrotnie na łamach „Miesięcznika Prowincjonalnego", nie wspominaliśmy jednak dotąd o innym niezwykle ważnym obszarze działań Radomskiej Orkiestry Kameralnej. A przecież niemal od samego początku istnienia orkiestra realizuje projekt edukacyjny adresowany do dzieci i młodzieży. Koncerty, czy raczej audycje popularyzujące muzykę, odbywają się raz w miesiącu, w przeddzień oficjalnych występów orkiestry. Odbiorcami są dzieci w wieku przedszkolnym, a także uczniowie szkół podstawowych, gimnazjów i liceów. Spotkania to dobra zabawa, dużo radości i satysfakcji, spora doza wiedzy podanej w umiejętny, adekwatny do zgromadzonego audytorium sposób (audycje prowadzi Robert Pluta, dyrektor radomskiej szkoły muzycznej), ale przede wszystkim emocje związane z przeżywaniem muzyki. Na piątkowym poranku edukacyjnym, 16 maja, pojawił się gość wyjątkowy – Adam Wodnicki, sławny pianista, na co dzień mieszkający w USA. Wspólnie z radomską orkiestrą pod batutą Macieja Żółtowskiego zagrał dwie części III Koncertu Fortepianowego c-moll Ludwiga van Beethovena. Wysłuchaliśmy pięknej, emocjonalnej interpretacji dzieła (oddane zostały prawdopodobne uczucia kompozytora, który, pisząc utwór, miał świadomość, że traci słuch, tak cenny przecież w tej dziedzinie zmysł). Muzyka wprost magicznie stopiła się ze szczegółami z otoczenia, wzruszała, ale też pełniła rolę terapeutyczną – na sali koncertowej były również dzieci specjalnej troski z opiekunami (pedagogami i wolontariuszami). Opisywane spotkanie to tylko przykład żmudnej i cierpliwej pracy radomskiej orkiestry. Cyklicznie realizowany pomysł zajmuje ważne miejsce pośród inicjatyw kulturalnych skierowanych do radomskiej młodzieży i dobrze uzupełnia specjalistyczną ofertę edukacyjną szkolnictwa muzycznego, z której przecież z reguły korzystają tylko ci najzdolniejsi. Grupowe uczestnictwo w koncertach muzycznych pozwala przekroczyć wzorce swojego rodzinnego środowiska, w którym nie zawsze jest obecna muzyka poważna, wejść w inny świat, świat nowych doznań i przeżyć, a kontakt z muzyką wartościową, o niepodważalnych walorach estetycznych, może odegrać dużą rolę w dalszym życiu.

Czarodziejska Smykofonia

Od kilku lat Fundacja „Muzyka jest dla wszystkich" organizuje we współpracy z Mazowieckim Centrum Kultury i Sztuki sezony koncertowe Smykofonii na Mazowszu. Są to koncerty dla dzieci w wieku do pięciu lat i ich rodzin, popularyzujące ideę umuzykalnienia od pierwszych chwil życia. Patronem artystycznym przedsięwzięcia jest Orkiestra Sinfonia Varsovia, która zapewnia wysoki poziom wykonawców, a koncerty są dofinansowane ze środków ministra kultury i dziedzictwa narodowego. Współdziałanie doświadczonych animatorów i artystów oraz lokalnych współorganizatorów dodaje inicjatywie kolorytu – koncerty mają niezwykły charakter, a czasem nawet baśniową aurę.

25 maja Smykofonia zawitała ponownie do radomskiej „Łaźni" z koncertem „Trzy pory roku i czarodziej Wiosennik". Tym razem gościliśmy Kwartet 4-te (Pani Zima: Patrycja Jopek – skrzypce, Pani Lato: Helena Siatkowska – skrzypce, Czarodziej Wiosennik: Andrzej Kupczyk – altówka, Pani Jesień: Anna Kuczok – wiolonczela). Utwory wybrane specjalnie dla dzieci zainicjowały świetną zabawę, tańce i pląsy oraz wiele spontanicznych interakcji. Były fragmenty słynnych koncertów Antonio Vivaldiego „Cztery pory roku", opisujące dźwiękami nastroje związane z pogodą, klimaty folkowe (taniec irlandzki), a nawet jazz fusion (utwór z repertuaru zespołu Weather Report). Wykonawcy wyjaśnili i zademonstrowali również wybrane techniki gry (tj. pizzicato, legato) oraz zachęcili do wspólnego grania. O zwroty akcji i pogodny przebieg spotkania znakomicie zadbała Maria Roma Klatka, doświadczona animatorka i piosenkarka. Warto zatem zainteresować się i tą ofertą edukacyjną i postarać się o wejściówkę (ze względu na niewielką przestrzeń pomieszczenia „Łaźni" wstęp na imprezę jest limitowany). Następne radomskie edycje Smykofonii odbędą się w czerwcu, wrześniu, październiku i listopadzie.

Warto zatem przy okazji Dnia Dziecka podkreślić, jak istotne i odpowiedzialne zadanie mają dorośli. Wszyscy dorośli. To my naszym zaangażowaniem kształtujemy gusta najmłodszych pokoleń. Na wiele różnych sposobów.

Krzysztof Majerczyk

Niebieskie flamingi, czerwone wigry, zielone pelikany bez przerzutek

Robert Utkowski

W mgłę, w sad, do lasu. Choć częściej między bloki, potem wzdłuż torów, tam, gdzie kończyło się miasto a zaczynały pola. Dziś to już miasto: tam, gdzie rosła zdziczała grusza, pod którą leżeliśmy w upalne letnie dni, odpoczywając po stromym podjeździe.

Tam uciekaliśmy, kiedy przytłaczała nas gówniarska wtedy, ale zawsze jakaś, i wcale nie mniej ciasna, rzeczywistość.

Jak Tony Manero z „Gorączki sobotniej nocy", który chodził popatrzeć na brookliński most. Siedział, patrzył, marzył. Za mostem był Manhattan. Kraina snów.

Jeździliśmy za miasto, leżeliśmy pod zdziczałą gruszą, która przetrwała tam jakimś cudem, patrzyliśmy na tory. Niebieskie flamingi, czerwone wigry, zielone pelikany bez przerzutek leżały cicho z boku, bały się poruszyć.

Machaliśmy czasami do podróżnych w pospiesznych i osobowych do Kielc i Łodzi – tory rozchodziły się kawałek dalej, rozwidlały. Machaliśmy do tych, którzy jechali do innego świata, do innego życia; nieważne, że żaden z tych kierunków nie obiecywał Ameryki, prowadził do takiej samej Polski, w jakiej wyrośliśmy. Mieliśmy po 12 lat i sama idea Polski była dla nas zbyt skomplikowana.

Pachniało latem, słońcem, przygodą. Marzyliśmy o tej przygodzie, podróży. Uciekaliśmy z murów, żeby przez chwilę być indiańskimi wodzami, odkrywcami, zdobywcami nowych krain. Trochę dalej, wzdłuż torów na Łódź, była stara fabryka, przynajmniej tak nam się zdawało, „fabryka" – mówiliśmy i jeździliśmy do tej fabryki, żeby ją wciąż na nowo odkrywać. Podwórkowa legenda głosiła, że to Niemcy w czasie wojny coś tu zaczęli, ale nie skończyli, zostały setki metrów sześciennych wylanego i ukształtowanego w tunel betonu.

Tunel i kawałek czegoś, jakby niecka przed nim, był zalany wodą. Staliśmy na krawędzi betonu, rzucaliśmy w wodę kamieniami. Fale biegły w kierunku wejścia do tunelu, między taflą wody a stropem było z pół metra, może więcej. Wbiegały tam fale i ginęły w ciemności. Nigdy nie zebraliśmy się na odwagę, żeby pobiec za nimi. Żeby zabrać materac, ponton czy żółtą pompowaną łódkę i popłynąć, sprawdzić, co jest w tej ciemności.

Może nie chcieliśmy zepsuć sobie zabawy.

Wiele lat później miasto podeszło pod zdziczałą gruszę. Na tory mogli już popatrzeć ci, którzy wprowadzili się do bloków na Południu, na Sycyńskiej.

Grusza została wycięta, traszki uciekły.

W okolicach naszej „fabryki" stanęły zakłady, zakładziki, przedsiębiorstwa.

Flamingi, wigry i pelikany przegrały wyścig z rowerami górskimi.

Skarlały marzenia. I już nie ma dokąd uciec.

Robert Utkowski



fot. S.Z.Kamieński

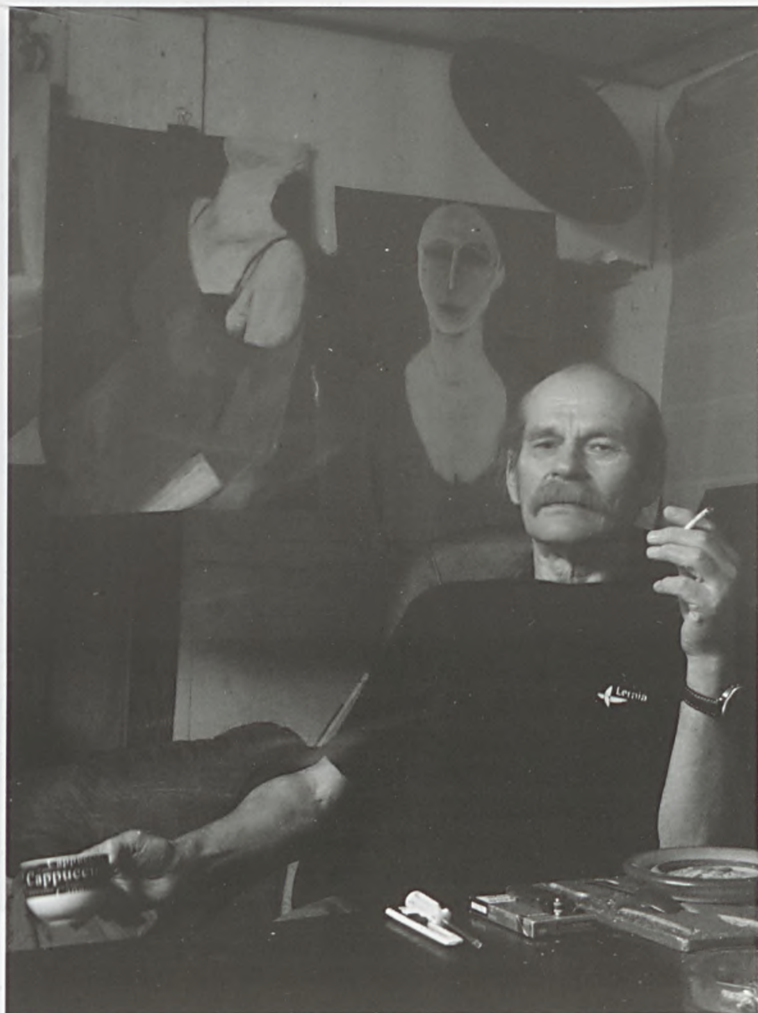
Leszek Kwiatkowski

Urodził się w 1949 r. w Radomiu. Studia odbył na Wydziale Malarstwa, Grafiki i Rzeźby w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu w latach 1969–1974. Dyplom obronił w pracowni malarstwa prof. Eustachego Wasilkowskiego, jednocześnie robił specjalizacje z drzeworytu u prof. Zbigniewa Lutomskiego i z graficznych technik metalowych u prof. Tadeusza Jackowskiego. Od 1974 r. pracował w Radomiu w galerii Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki przy ulicy Traugutta, potem było to Miejskie Centrum Kultury i Informacji Międzynarodowej, a obecnie galeria jest częścią instytucji o nazwie „Łaźnia" Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria. Od 1977 r. jest członkiem Grupy M-5 razem z Krzysztofem Mańczyńskim, Aleksandrem Olszewskim i Longinem Pinkowskim. W 1991 r. rozpoczął pracę jako nauczyciel malarstwa i rysunku w Liceum Plastycznym w Radomiu, obecnie szkoła nosi nazwę Zespół Szkół Plastycznych im. Józefa Brandta. Sam nieprzerwanie uprawia malarstwo i rysunek, w tym roku obchodzi 40-lecie pracy twórczej. Redakcja „Miesięcznika Prowincjonalnego" życzy Leszkowi Kwiatkowskiemu dalszych pomyślnych lat twórczości artystycznej.

***

Jak pokazać czterdzieści lat? Jakie wybrać prace? Co z tymi, które krążą po świecie (czasami nie wiadomo gdzie)?

Ostatnie cztery lata były dla mnie przygodą pełną niespodzianek; czymś ważnym, czego nie jestem w stanie zdefiniować. To był okres


fot. S.Z. Kamieński

czułem – było wyrazem tego, co niewyrażalne.

Jak pokazać emocje...

W pewnym momencie to one zajęły miejsce obrazów. (Obrazy powstawały w ciągu kilku tygodni, czasami miesięcy, i przez to traciły na spontaniczności, bywało, że stawały się wręcz przedmiotami.)

Taki sposób tworzenia zakładał od początku malowanie wszystkiego, bez segregowania, wartościowania, oceniania i zastanawiania się, dlaczego i po co.

Część z tych prac pokazałem w galerii Łaźnia kilka lat temu. Ekspozycja była aneksem do mojej wystawy, która odbyła się w 2011 r. MCSW „Elektrownia". Na obecnej wystawie pokazuję w większości obrazy, które powstały później.

Może ta wystawa jest jedną z ostatnich okazji, żebym mógł zobaczyć i ogarnąć jednym spojrzeniem to, co wydarzyło się w ciągu tych czterech ostatnich z 40 lat pracy...

Wysłuchała wypowiedzi artysty – swojego ojca – i wybrała do publikacji
Magdalena Kwiatkowska-Rzodeczko
Radom, 13–15 maja 2014 r.

natłoku myśli i obrazów. Okres całkowitego zaufania intuicji, choć ona zawsze odgrywała główną rolę w moich wyborach i decyzjach.

Mniej więcej w 2010 r. przyszedł czas malowania, o którym marzyłem od wielu lat...

Pojawiają się spostrzeżenia i wyobrażenia, a moją rolą jest ich wizualizacja na papierze. Zanurzam pędzel w farbie i maluję. Nie oceniam, nie segreguję – nic z wyrachowania. Czysta intuicja.

Wszystko to, co mnie ograniczało – oczekiwanie na akceptację, na sukces, na pieniądze – przestało istnieć. Są tylko obrazy i malowanie.

Od wielu lat „prowadziłem" dziennik – codziennie powstawały małe rysunki, które komentowały to, co mnie spotkało albo to, co

bez tytułu, 2011, akryl, pastel olejny/ biały papier, 69,7 x 49,5 cm

Pustki z cyklu *Puste miejsce*, 2012, akryl/szary papier, 50 x 70 cm





na str. 2 i 3

bez tytułu, 2013
akryl, pastel olejny/czerwony papier, 43 x 61 cm

bez tytułu z cyklu *Słowa*, 2013
akryl, pastel olejny/czerwony papier, 43 x 61 cm

bez tytułu, luty 2012
akryl, pastel olejny/czarny papier, 50 x 70 cm

bez tytułu z cyklu *Słowa*, grudzień 2010
akryl, pastel olejny/czarny papier, 50 x 70 cm













Wszyscy których widziałem, 2014
akryl, pastel/biały papier, 69,7 x 49,5 cm



na poprzedniej stronie

bez tytułu, 2011
akryl, pastel olejny/ biały papier, 69,8 x 49,8 cm

Wszyscy których widziałem, 2013
akryl, pastel olejny/brązowy papier, 70 x 50 cm

Wszyscy których widziałem, 2011
akryl, pastel olejny/biały papier, 69,8 x 49,8 cm





Droga do wczoraj. Wszyscy których widziałem, 2010
akryl, tempera, pastel olejny/czarny papier, 70 x 50 cm



Wszyscy których widziałem, 2012
akryl, pastel/czarny papier, 70 x 50 cm



bez tytułu, 2013, akryl, tempera, pastel olejny/
czerwony papier, 85,2 x 65 cm



bez tytułu, 2013, akryl, pastel olejny/zielony papier,
86 x 60,7 cm



Wszyscy których widziałem, 2012
akryl, pastel olejny/szary papier, 100 x 70 cm



Wszyscy których widziałem, 2012
akryl, pastel olejny/szary papier, 70 x 50 cm



Wszyscy których widziałem, 2012, akryl, pastel olejny/szary papier, 100 x 70 cm



Leszek Z K, luty 2011, akryl, pastel olejny/czarny papier, 70 x 50 cm



fot. S.Z.Kamieński

Zapiski muzealnika

O wystawach braci

Mieczysław Szewczuk

1. Nazwisko braci Aleksandra (1850–1901) i Maksymiliana (1846–1874) Gierymskich, wybitnych polskich malarzy XIX w., pojawiło się tej wiosny w mediach. Ich wystawy otwarto w marcu i kwietniu w muzeach narodowych w Warszawie i Krakowie. Przy okazji przypomniano tragiczne losy malarzy. Maksymiliana europejskie sukcesy, gruźlicę i śmierć w wieku 28 lat. Biedę Aleksandra, jego osamotnienie i śmierć w szpitalu psychiatrycznym w wieku 51 lat.

Wystawy braci różnią się. Na warszawskiej – Aleksandra – zebrano wszystkie jego dostępne prace: obrazy, rysunki, grafiki, ilustracje, widoki Warszawy (ważne w ikonografii miasta), także Monachium, Paryża, pejzaże z Włoch. Wyraźnie widoczna jest na nich indywidualność drogi twórczej. Ważny dla niego był realizm, obraz świata, życia, i zmieniające się światło. Niektóre obrazy – nawet spośród najwybitniejszych – widziałem po raz pierwszy. Należy do nich np. przedstawienie jednego z wnętrz weneckiej bazyliki.

Krakowska wystawa „Maksymilian Gierymski. Dzieła, inspiracje, recepcja" prezentuje obrazy i rysunki Maksa na tle dzieł innych artystów epoki, polskich i zagranicznych, wypożyczonych z wielu europejskich muzeów (Berlina, Monachium, Kolonii, Budapesztu, Paryża). Jest to raczej wystawa jednego z nurtów sztuki europejskiej tej epoki i nie jest łatwo – oglądając wystawę po raz pierwszy – uchwycić indywidualne cechy sztuki Maksymiliana, na przykład umiejętność stworzenia w obrazie wrażenia ciszy, nasłuchiwania. Jest to widoczne zwłaszcza w jego arcydziele „Patrol powstańczy", wspomnieniu z powstania styczniowego, w którym malarz wziął udział mając 17 lat.

Obydwie wystawy stały się wydarzeniami. Przypomniały Polskę XIX w., ważnych w historii polskiej sztuki artystów, którzy skierowali ją na drogę ku nowoczesności, postarali się, by znów stała się sztuką europejską. Pokazano na nich wybitne dzieła, prezentujące realizm na najwyższym poziomie, co budzi dziś szerokie zainteresowanie.

Wystawy czynne będą do 10 sierpnia.

2. W radomskim muzeum nie ma obrazów braci Gierymskich. Ale był taki czas, kiedy można było oglądać w Radomiu jedno z wybitnych dzieł Aleksandra. Kiedy Anna Apanowicz stworzyła pierwszą galerię malarstwa, przez ponad


fot. S.Z.Kamieński

Aleksander Gierymski *Katedra w Amalfi* (1889 r.)

20 lat (1962–1983) zdeponowany był w Radomiu obraz Aleksandra ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie – studium postaci kobiecej do „Trumny chłopskiej". O obrazie tym pisał Andrzej Wajda: „Nie znam w polskim malarstwie obrazu, gdzie obecność tragizmu byłaby równie silna. Właśnie tragizmu, nie dramatyzmu. Jest w tym obrazie duch antycznej tragedii, która rozstrzyga się zawsze w pełnym świetle dnia, na oczach sąsiadów, przed domem...".

W znakomitym studium widzimy ten sam malarski warsztat i stopień wykończenia, a powiększenie postaci sprawia, że obraz jest wyrazistszy, działa mocniej. I tym razem – jak w studium do obrazu „W altanie" – zdarzyło się, że Gierymski osiągnął więcej niż w skończonym dziele. „W altanie" malował migocące światło, tu – ból.

Aleksander namalował – w obrazie „Trumna chłopska" i studiach do niego – ludzi w chwili, gdy godzą się z tragedią, która ich spotyka. Z losem. Na obrazie, który zapamiętałem w Radomiu, jest kobieta, o której kiedyś powiedziano by, że skamieniała z bólu, jak Niobe. To nie tylko studium do rodzajowego obrazu o chłopach. Proponuję, by patrzeć na nie jak na odrębny obraz. Jego tematem jest człowiek – sam wobec losu. Tak widzę obraz z dzisiejszej perspektywy, która ukazuje uniwersalny sens. W XIX w. był dramatycznym apelem – jednym z wielu – malarzy, pisarzy, publicystów – w sprawie chłopskiej.

3. Zapewne zaskoczy czytelników informacja, że zapamiętałem obraz nie na ścianie galerii, a w kasie muzeum (mieściło się wtedy przy ul. Nowotki). Wisiał wysoko, ponad nami, wśród innych obrazów. Gdy zaglądałem przez okienko kasy – dziś satni w bibliotece – widziałem tę kobietę w kraciastej chuście, siedzącą przy ścianie chałupy.

4. Po latach, gdy już pracowałem w dziale sztuki Muzeum Okręgowego, znów zobaczyłem w Radomiu obrazy Aleksandra Gierymskiego. Przywieziono je do muzeum i oferowano do zakupu. Były to prace w małych formatach z ostatniego okresu twórczości artysty. Widoki z Włoch (Werona w słońcu!) – nie zostały kupione. Dla nas były za drogie.

Mieczysław Szewczuk

Ściema

Łukasz Prus

Pierwszej nocy w kawalerce B. piliśmy wódkę, a ja opowiadałem mu o Anglii. Mówił, że czuć ode mnie tą Anglią i nie chciał wierzyć w to wszystko, czego tam doświadczyłem. Myślał, że są tam Bóg wie jakie cuda. Ja tam żadnych cudów nie widziałem, ale udało mi się odłożyć trochę pieniędzy i raz na zawsze, tam, daleko od domu, przekonałem się, gdzie jest moje miejsce na świecie.

– Nie chcę tam wracać – mówiłem już lekko podpity. – Naprawdę, nie mam zamiaru więcej stąd wyjeżdżać. – Powtórzyłem i opowiedziałem mu, jak to było naprawdę.

W Radomiu zawsze było mi ciasno, a na studia i tak się nie wybierałem, więc odłożyłem parę groszy, zwinąłem majdan i zaraz po maturze poleciałem do Anglii. Tam szybko złapałem robotę w fabryce i wynająłem pokój w domku na spokojnym angielskim przedmieściu. Mieszkały w nim dwie dziewczyny z Ukrainy. Jedna była jakaś dziwna, nie odzywała się prawie wcale i patrzyła na mnie jakby ze strachem. Potrafiła za to świetnie gotować, pracowała jako pokojówka w hotelu i chyba z rozpędu sprzątała też i mój pokój, dlatego z czasem ją polubiłem. Druga była bardzo ładna i przebojowa. Trochę mówiła po polsku, szwendała się po mieszkaniu w samej bieliźnie i szybko się w niej zakochałem. Pewnego dnia, kiedy wróciłem z roboty, zastałem pusty dom. Ukrainki zniknęły ze wszystkimi swoimi rzeczami i połową moich pieniędzy, które, sam nie wiem dlaczego, zamiast w banku trzymałem pod materacem. Tylko barek zostawiły nietknięty, więc skułem się na sztywno i kiedy obudziłem się rano, nie miałem zwykłego kaca. Czułem wściekłość, bezradność i dziką tęsknotę za domem. Dlatego po tygodniu zwolniłem się z fabryki, znów zwinąłem majdan, a następnie wsiadłem w samolot i zwaliłem się matce na głowę, zmęczony i okradziony.

Matka nie bardzo się ucieszyła i choć nie dawała tego po sobie poznać, wyczułem, że nie widzi jej się znów mieszkać ze mną i dwiema młodszymi córkami w tym ciasnym em dwa, którego przez pół życia dodrapywała się z ojcem, więc postanowiłem jak najszybciej się wynieść. Wszyscy moi kumple poszli na studia, rozjechali się po Polsce i teraz nie miałem z nimi kontaktu, więc B. był dla mnie jedynym ratunkiem. Po kilku dniach zadzwoniłem do niego i wyjaśniłem w czym rzecz, a on powiedział, żebym się wprowadzał, choćby i zaraz.

– Ja też nie chcę wyjeżdżać – odparł B. – Za żadne pieniądze. Zrobię wszystko, żeby tu zostać, bo tu mi dobrze.

B. był już porządnie wstawiony. Zdziwiło mnie, że tak szybko się upił, a jeszcze bardziej to, co powiedział: – Tu mi dobrze. Mamy nową fontannę z kiblem i barem w szklanej gablocie, Galerię Słoneczną, piękny dworzec, uniwersytet zamiast politechniki, chytrą babę i zajebistą salę koncertową. Czegóż chcieć więcej? To mi wystarczy, musi wystarczyć. Tak, bardzo dobrze mi tutaj.

Trochę zaskoczył mnie jego ton, bo kiedy to mówił, jego twarz stała się śmiertelnie poważna, ale serdeczna, jakby wykuta z kamienia, a jego oczy błysnęły żywym płomieniem. B. właśnie skończył studia na radomskiej polibudzie i szybko przekonał się, że ktoś go oszukał i upokorzył, tylko nie wiedział kto. Pochodził z małej miejscowości i bardzo chciał wyrwać się z domu. Nie miał innego wyjścia, więc zatrudnił się na stacji benzynowej i wynajął kawalerkę w wielkiej płycie na Borkach. Zarabiał grosze, ale mimo wszystko był zadowolony z tej pracy, bo po sześciu miesiącach okresu próbnego na śmieciówie dostał normalną umowę, płatny urlop i bezpłatne miejsce w kolejce do lekarza, gdyby zdarzyło mu się podupaść na zdrowiu. Rok temu poznał miłą i rozsądną dziewczynę i podobno zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Anka też

pochodziła z jakiejś małej miejscowości, mieszkała dwa bloki dalej w wynajętym pokoju, pracowała w sklepie z ciuchami w galerii i mówiła, że go kocha nad wszystko, bo czuje się przy nim bezpiecznie i pewnie. B. nieśmiało marzył o ślubie i chciał zaręczyć się z nią w ciągu najbliższego roku, bo przecież już miał swoje lata. Tylko że na razie nie stać go było na ślub i rodzinę. W ogóle ledwo ciągnął, dlatego ucieszył się, kiedy z nim zamieszkałem, bo dzięki temu miał pewność, że pensja razem z nadgodzinami wystarczy mu do pierwszego.

– To co – zapytałem – chcesz całe życie tyrać na stacji?

– Ani mi się śni – odparł głosem jeszcze bardziej poważnym i wtedy opowiedział mi o swoich prawdziwych snach.

B. chciał zostać pisarzem. Dlatego chwalił sobie pracę na nocnej zmianie. Kiedy nie było ruchu na stacji, mógł spokojnie czytać książkę za książką. A czytał ich naprawdę dużo. Nigdy bym nie pomyślał, że można tak czytać. Zawsze szkoda mi było czasu na książki, bo przecież prawdziwe życie ucieka, myślałem. A on co chwilę znosił z biblioteki kolejne tomy. Kiedy miał wolne dni, a nie było ich wiele, siadał w swoim kąciku i próbował pisać. Niedługo po tym, jak się do niego wprowadziłem, udało mu się opublikować pierwsze opowiadanie, którego akcja toczyła się na głównej ulicy Radomia. Czytał mi je wielokrotnie. Kiepskie mi się wydawało to jego opowiadanie, ale B. był szczęśliwy, więc miesiąc po miesiącu dalej pracował na stacji benzynowej, pochłaniał literaturę, pisał i pił ze mną wódkę, kiedy obaj już mieliśmy wszystkiego dość.

Bo zaraz po wprowadzeniu się do kawalerki wziąłem się do szukania pracy i kiedy już odbyłem kilka spotkań rekrutacyjnych, poczułem się tak samo jak B. upokorzony i oszukany, a przecież panowie z telewizji zapraszali mnie do powrotu i mówili, że ojczyzna czeka na mnie z otwartymi ramionami i że potrzebuje takich jak ja – młodych, energicznych i przedsiębiorczych. Że jesteśmy tym, co najcenniejsze dziś w Polsce. Kiedy więc rzuciłem się w jej objęcia, przekonałem się, że to wszystko ściema nad ściemy i pomyślałem, że być może B. ma rację, mówiąc, że w Radomiu i w ogóle w tym kraju nic dobrego nas nie czeka prócz snów.

B. czytał, pisał i upijał się kilka razy w tygodniu. Z czasem zaczął wariować i biegać po mieście po pijanemu. Mówił, że czegoś szuka, że musi się przekonać na własne oczy. Nie wiedziałem, o co mu chodziło i trochę się z niego śmiałem, bo różne głupoty wygadywał, gdy nagle zjawiał się nad ranem zlany deszczem, ledwie przytomny i bez grosza przy duszy.

Po czterech miesiącach spędzonych na upijaniu się z B. i odbywaniu spotkań rekrutacyjnych, których finał zawsze wyglądał tak samo, skończyły mi się pieniądze i nie miałem już wyjścia – musiałem złapać jakąś robotę. Pewnego dnia B. wrócił z pracy i powiedział, że akurat jeden gość zwolnił się ze stacji, więc zatrudniłem się na jego miejsce i na pół roku okresu próbnego dostałem śmieciówę z możliwością przedłużenia na rok. B. i jego dziewczyna bardzo się ucieszyli, bo dzięki temu mogli spokojnie korzystać z zacisza kawalerki, kiedy ja, ubrany w firmową koszulę i czerwony krawat, gniłem na stacji benzynowej i jak automat powtarzałem do każdego klienta, że „kawę z ciastkiem zaproponuję". I znów zastanawiałem się, co dalej ze sobą zrobić. Po pewnym czasie wziąłem przykład z B. i kiedy siedziałem na nocnej zmianie, czytałem książki, które on bez przerwy znosił z biblioteki publicznej, a świat zbudowany z papieru i liter wydawał mi się nierzeczywisty i obcy, bo to, co każdego dnia oglądałem zza kontuaru zastawionego puszkami, batonami, kondomami w dziesięciu smakach i innym badziewiem wyglądało zupełnie inaczej, a tylko to naprawdę mnie obchodziło.

I jakoś tak szło. Mieszkaliśmy w kawalerce i na przemian jeździliśmy do roboty autobusami wypchanymi tłumem starych bab i gimbusów. Zarabialiśmy grosze, którymi ledwo co płaciliśmy za życie i czynsz, chodziliśmy do Lidla po jedzenie z promocji, piliśmy wódkę i czytaliśmy książki, które pozwalały nam śnić. B. opublikował kolejne dwa opowiadania i beształ swoją polonistkę z liceum, ślepą na jedno oko kobietę, która przez trzy lata wmawiała mu, że nic z niego nie będzie i stawiała pałę za pałą. I pisał coraz lepiej, a niektóre akapity i zdania robiły na mnie duże wrażenie, waliły w głowę jak młot, bo były wulgarne, pozbawione zbędnej maniery i może dlatego tak boleśnie prawdziwe.

Chyba na dobre utkwiłem na tej przeklętej stacji i dzień po dniu wtapiałem się w szereg młodych zrezygnowanych. Czasami kiedy miałem wolne, czułem się samotny i wtedy wychodziłem na miasto. Ale tutaj to nie to samo co w Anglii, nie tak łatwo zbajerować dziewczynę, bo te, zrozumiałem to dopiero później, które wystawiają się na pokaz, często robią to tylko dlatego, że szukają prawdziwej miłości, tylko nie wiedzą, że prawdziwej miłości nie da się znaleźć w burdelu. Czasami wychodziłem na jakąś randkę, ale szybko rezygnowałem, ponieważ pragnąłem czegoś innego. Kilka razy kiedy się upiłem, a B. był na nocy, wyciągnąłem dziewczynę z klubu i kochałem się z nią żałośnie i smutno na moim materacu rozłożonym pod ścianą, po czym ona ubierała się, mówiąc, że rano musi iść na wykład albo do pracy w Galerii Słonecznej lub Żabce, a gdy pytałem, czy dać jej pieniądze na taksówkę, odpowiadała, że nie trzeba, całowała mnie w usta i wychodziła jak z kina, a ja zasypiałem na materacu w poczuciu dławiącego nienasycenia.

Nie żyło nam się najgorzej. Bagno zaczęło się wtedy, gdy to, czego B. szukał po nocach, znalazło się samo, bo Anka pewnego dnia powiedziała mu, że między nimi już koniec i nawtykała mu, że co z niego za facet, że gdzie on ma jaja i w ogóle jak sobie wyobraża rodzinę i przyszłość. B. nie wiedział, jak sobie wyobrażał rodzinę i przyszłość, wcale sobie tego nie wyobrażał, bo przecież nie miał do tego prawa, więc ona znalazła sobie innego i po miesiącu awantur i błagań o szansę powiedziała ostatnie „nie" i poleciała do Irlandii z tym nowym, a B. zupełnie stracił ją z oczu. Chlał na umór i tylko stacja benzynowa trzymała go jako tako przy życiu. Upijał się prawie codziennie, wdawał się w awantury i bijatyki, spał u kogo popadnie, a kiedy był trzeźwy, zabierał się do pisania i powtarzał, że sny kosztują więcej niż się spodziewał, że takich jak my nie stać na prawdziwe sny, ale ja byłem pewny, że tylko tak gada, że przejdzie mu lada dzień i wtedy zacznie wszystko od nowa – tak samo jak ja, kiedy zdecydowałem się na powrót do tego miasta.

Łukasz Prus



Łukasz Prus

Urodził się i mieszka w Radomiu. Obecnie kończy studia magisterskie z filozofii w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Debiutował na łamach „Miesięcznika Prowincjonalnego" nr 5 (134) wrzesień–październik 2012 r. opowiadaniem „Żeromskiego/Czachowskiego". Publikował także w „Miesięczniku Literackim AKANT" oraz w zbiorze *Jabłoń i inne opowiadania*. Jego zainteresowania literackie koncentrują się wokół powieści i krótkich form prozatorskich od XIX w. do współczesności oraz ich uwarunkowań filozoficznych.

Kij i marchewka

Grzegorz Sasin

fot. internet

Najpierw należy postawić problem na ostrzu noża. Jak w filmie „Dziecko czeka" Johna Cassavetesa, w którym dziecko czeka na wyzwolenie z psychicznej pętli: mały Reuben jest zawadą dla ojca. Ojciec chce robić karierę, a tu pod nogami pęta się jakiś chłopak, na domiar złego przewrażliwiony. Tak przynajmniej mówią lekarze w ośrodku dla dzieci upośledzonych mentalnie. A zatem chłopak do „wariatkowa" dla dzieci, żona w odstawkę po gładko przeprowadzonym rozwodzie. I można wziąć się za bary z konkurentami, robić karierę. I wtedy zaczyna się film-dyskusja, antagonizm między wykwalifikowanym psychologiem (Burt Lancaster) a siłą dodatkową, nauczycielką z przypadku (Judy Garland). Psycholog podchodzi do sprawy rutynowo, zaś nauczycielka z dobrą wolą, ale dość beztrosko. I stanie na jej racji, bo Reuben zacznie się budzić. Być może jego zachwiana psychika wróci do normy. Tym bardziej że ojciec jakby do chorego dziecka wrócił. Zakończenie filmu jak na Cassavetesa nietypowe, hollywoodzkie takie. Ale bo też jest to jeden z jego niewielu filmów nakręconych dla hollywoodzkiego producenta pierwszej gildii – o czym świadczą gwiazdy w rolach głównych. Ale i tak show im ukradł Bruce Ritchey grający Reubena. Zwykła rzecz w kinie – dzieci, psy, koty etc. przyćmiewają dorosłych aktorów pierwszego planu.

Potwierdza to polski film „Zerwany" Jacka Filipiaka, w którym prym wiedzie grający małoletniego bohatera Krzysztof Ciupa. Film ten rozgrywa się między domem dziecka, rodziną zastępczą i poprawczakiem. W rodzinie zastępczej chłopiec jest bity i zastraszany psychicznie podobnie jak jego przyszywani bracia i siostry. A pieniądze na ich wychowanie rodzice wydają diabli wiedzą na co, bo na stole wciąż kartofle. Chłopak buntuje się, ucieka, kradnie chleb i ląduje w poprawczaku z błogosławieństwem na drogę od policjanta: takich jak ty trzeba wieszać. W poprawczaku natomiast do poprawy, czy też naprawy dzieci i grubo wyrośniętych nastolatków służy bezdyskusyjna metoda kija, od czasu do czasu marchewka albo raczej marcheweczka, no i szantaż. Sadyzm też – markowany niby to teorią pedagogiczną dwóch rywalizujących między sobą wychowawców (Jan Frycz, Łukasz Simlat).

Filipiak przeprowadza w tym filmie dowód na zbawczy walor inteligencji. To dzięki niej nasz bohater nie tylko owinie sobie wokół palca silnych kolegów-przygłupów, ale i swego wychowawcę. I dlatego pewna komisja ministerialna, jak z Gombrowicza, dojdzie do wniosku, że chłopak się zresocjalizował i wyśle go na nauki do dość ekskluzywnej szkoły jako przykład. Marchewka nabyła więc smaku, ale z całości filmu bynajmniej nie wynika, że żyjemy na hollywoodzkim Bulwarze Zachodzącego Słońca – a zwłaszcza dzieci w takim słonecznym raju nie żyją. Bo inteligencja dziecięca inteligencją, ale metody wychowawcze rodem z Dickensa (np. „Nicholas Nickleby"), a wychowawcy z przypadku, tj. z jakiegoś naboru: kto szybszy, ten lepszy, jak w biegu na 100 metrów przez płotki.

Nie lepiej jednak wiedzie się dzieciom, tj. chłopcom, bo ci wszyscy bohaterowie to chłopcy (czyżby dziewczynki nie miały dzieciństwa?), gdy wychowują się w tzw. domowych pieleszach. Cóż jednak robić, gdy przyjdzie im się narodzić z zakompleksionego ojca i zahukanej matki? Taki zakompleksiony tatuś (znów w wykonaniu Jana Frycza) prezentuje nam uroki swoje w „Pręgach" Magdaleny Piekorz. I torturuje syna a to pejczem, a to sentencją, a to przysłowiowym żurkiem, a to Bachem, to znów Haydnem. Syn zaś dorasta i traktuje otoczenie tak samo jak jego traktuje ojciec. Dopóki go miłość nie dopadnie, romantyczna, ale nie według wyobrażenia pani profesor Marii Janion, a według wyobrażeń potocznych. Film od razu uderza z grubej rury, a potem zaczynają się schody, czyli próby owinięcia tej historii pewnego spaczonego dzieciństwa w gładkie tiule mistyki rodziny po polsku, bo przecież mimo wszystko rodzina to jest to, więc z traum dzieciństwa można wyjść łatwo i prosto. Wystarczy zakochać się i mamy Hollywood, lata 50. – czyli największe zakłamanie w kinie amerykańskim. Ten cały tiulowy naddatek to wielki rodzynek scenarzysty, Wojciecha Kuczoka, który jest właściwym autorem filmu. Magdalena Piekorz tylko dyrygowała na planie; zresztą tak wybornie, że dzięki niej dostaliśmy do oglądania bardzo dobry i wiarygodny film. Jej reżyseria niejako przerosła „słodycz" scenariusza.

Żadnej słodyczy nie ma w filmie „Kieszonkowe" François Truffauta. Inaczej można nazwać ten film epizodami z życia dziecięcego. Jeden z epizodów opowiada o chłopcu torturowanym na różne sposoby przez babcię i mamusię, co wychodzi na jaw podczas szkolnego badania lekarskiego. Poza tym: nie karmiły go, wysyłały na żebry, jak również do zbierania wszelkiego śmiecia na ulicach. Pochodzenie społeczne? Klasa średnia. Reakcja babcio-mamusi: zdziwienie, bo one uczą go tylko życia. Poza tym ów syn i wnuk to ich własność... O tej sprawie opowiada nauczyciel idealista innym dzieciom, aby im pokazać, czym są dorośli: to nadzorcy w więzieniu. Mają za sobą prawo, bo dzieci są niczym. Dzisiaj są dziećmi, a jutro już są dorosłymi – więc w czym problem? W tym, mówi Truffaut, że dzieci są gorzej chronione niż przestępcy, którym sądy wymierzają coraz mniejsze kary za coraz brutalniejsze wybryki.

A jak kochają dzieci w tzw. trzecim świecie? Tak bardzo, że porywają je, aby z bronią w ręku walczyły w niezliczonych afrykańskich wojnach domowych, jak ma to miejsce w „Wiedźmie wojny" Kima Nguyena. 14-letnia Komona (Rachel Mwanza) zostaje porwana przez oddział tzw. partyzantów, którzy palą jej wioskę, każą zabić rodziców i biorą ze sobą jako czarownicę-talizman, tytułową wiedźmę, która ma owych buntowników chronić, a potem się ją zabije. Film jest taką opowieścią Komony dla nienarodzonego dziecka, które nosi w łonie. Dzieci są tu wykorzystywane, gwałcone, zabijane w imię jakichś tam debilnych idei, w imię zabobonów. I tak jest na co dzień, jak choćby ostatnio w Nigerii, gdzie islamiści z Boko Haram porwali około 300 dziewcząt, bo Allach tak chce. A wszyscy ci podróżnicy, reporterzy też, zachwycają się, jak to Afrykanie kochają dzieci. Tak bardzo kochają, że aż je dla czarów zabijają i zjadają. Może posmarowane lukrem – ulubionym smakołykiem podróżników.

Tak samo opisują Indie, podobno niezmierzone, niezgłębione, mistyczne, a przecież pełne brudu, nędzy i okrucieństwa: dzieci wyzyskiwane przez dorosłych, kobiety przez mężczyzn. Tak



fot. internet

Kadr z filmu „Slumdog. Milioner z ulicy" w reż. Danny Boyle'a

właśnie jest w filmie „Slumdog. Milioner z ulicy" Danny Boyle'a, którego bohater od niemowlęctwa do nastoletności smaży się w indyjskim piekle. I uchodzi cało dzięki inteligencji i szczęściu, czyli przypadkowi, sprytowi i wciąż nieskażonej dziecięcej naturze. Lecz film Boyle'a kłamie. Kłamie w kontekście powieści Vikasa Swarupa, na podstawie której został nakręcony. Boyle wykoślawił kształt narracji Swarupa. Ślicznie ocenił w końcu koszmarną początkowo policję. Indie zaś przybrały pod jego kamerą wygląd orientalnej baśni. Widokówka po prostu. A przecież powieść Swarupa jest pełna bólu, ironicznego bólu. Żadnych w niej ładności, podobnie jak w „Świętych grach" Vikrama Chandry albo jedynej chyba uczciwej książce o Indiach, napisanej przez osobę z zewnątrz, tj. w „Lalkach w ogniu" Pauliny Wilk.

Inteligencja, upór, spryt i odporność na widzimisię dorosłych. Te wszystkie cechy ma bohater „Billy Elliota" Stephena Daldry'ego. Billy, syn górnika wychowany w określonym środowisku, chce być tancerzem. Występować w królewskiej operze w Londynie. I stawia na swoim, bo umie przekonać rodziców. Jest to film optymistyczny, a jednak bardzo rzeczywisty, życiowy. Film o pasji, o tym jak realizuje się osobistą wizję życia, takiego, a nie innego.

O tym, jak dziecko umie postawić na swoim, przekonuje też inna historyjka z „Kieszonkowego" Truffauta. Ukarana za drobiazg pewna córeczka eleganckiej pary zostaje zamknięta w domu, a rodzice idą na obiad do drogiej restauracji. Cóż, dziewczynka mści się. Bierze megafon ojca i wrzeszczy na całą ulicę, że jest głodna. Oburzeni sąsiedzi dostarczają jej przez okno cały kosz smakołyków, delicji, butelki wina etc. Złośliwość więc popłaca!

Wszystkie te filmy są jakby o mitach dzieciństwa według Carla Gustawa Junga: „Z jednej strony bezbronne dziecko wydane na pastwę niezwykle potężnych wrogów, nieustannie zagrożone zniszczeniem, z drugiej natomiast dysponuje siłami przekraczającymi ludzką miarę".

Tak, tak, np. dysponuje snami, których zazdrości im ponury i obleśny dyktator z „Miasta zaginionych dzieci" spółki Marc Caro i Jean-Pierre Jeunet, który porywa dzieci, aby ukraść im sny. Dzieci na szczęście uciekają z tego przeklętego świata utopii za pomocą brzydala wielce dobrotliwego, olbrzyma, który zdradził tyrana – a prowadzi je głos Jeana-Louisa Trintignanta jako przewodnika.

Wniosek? Bycie dzieckiem to nie jest stan chwilowy. Nie można więc na dziecko machnąć ręką. Bo dziecko to osobowość, odrębny świat. Filmowcy zdają się to rozumieć. Szczególnie Truffaut, którego „Kieszonkowe" było jakby sumą zdobywania wiedzy o dziecku. To właśnie Truffaut nakręcił wręcz trylogię o stawaniu się człowieka: chłopiec w „Czterystu batach", beztroski młodzieniec w „Skradzionych pocałunkach", małżonek w „Małżeństwie". Bo skoro życie jest wędrowaniem, to początek drogi jest w brzuchu matki, gdy niemowlę jeszcze nie wie, co je czeka. Nie wie, że zaczęło już wędrówkę, i w kinie też.

Grzegorz Sasin



fot. S.Z. Kamieński

Na śmierć Tadeusza Różewicza

Stanisław Zbigniew Kamieński

Czekanie na śmierć bliskiej osoby przygniata do ziemi. Od pewnego czasu oczekiwałem śmierci moich Rodziców, którzy zmarli, Mama tuż po Ojcu, w listopadzie i grudniu ubiegłego roku. Tadeusz Różewicz był od nich niewiele starszy; należeli do tego samego pokolenia, naznaczonego w młodości, czasie najbardziej kształtującym ludzką osobowość, doświadczeniem wojny i jej okrucieństw. Zmarł Tadeusz Różewicz w czwartek, 24 kwietnia, odszedł nagle; w liście z życzeniami świątecznymi na Wielkanoc jego syn Kamil napisał do mnie: „Rodzice już starzy, ale dzięki Bogu jeszcze sprawni". Pisujemy do siebie z rzadka, od czasu, gdy spotykaliśmy się na wakacjach przed laty. Mieszkaliśmy wówczas w tym samym kaszubskim domu na skraju lasu, niedaleko morza; my zajmowaliśmy na piętrze pokój z oknem wychodzącym ku zachodowi, państwo Różewiczowie mieli pokój południowy.

To tutaj poeta napisał wiersz zaczynający się od słów: „Patrzę w okno / deszcz w ciemnych koronach / drzew / nisko złote / łubiny / opowiadam mojemu synowi Hamleta / mówię o duchu który / o szczurze za kotarą / poczciwym gadule / ojcu obłąkanej". Pod koniec tego wiersza, który ze zrozumiałych względów darzę sentymentem, Różewicz podaje dokładną datę owego wakacyjnego zdarzenia: „udzielam niejasnych informacji / o życiu Szekspira / 3 lipca 1962 roku / jeszcze jeden człowiek na ziemi / dowiedział się / o istnieniu angielskiego dramaturga / pada deszcz słychać śmiech/ za ścianą myszkuje mysz / w lasach siwy mech / pęcznieje jak topielec / pytanie / które sobie zadał / Królewicz Duński / przemilczałem / to zbyt okrutny i prostacki żart / dla współczesnego człowieka".

Czy chodzenie tymi samymi ścieżkami co Różewicz miało wpływ na to, że jego poezja, także proza, stały się dla mnie tak ważne? W jakimś stopniu zapewne tak. Jednak to jego wiersze znalazły przede wszystkim drogę do mnie. Pojawiały się głosy, że sztuka po Auschwitz jest niemożliwa, absurdalna (pierwszy bodaj Theodor Adorno powiedział w 1945 r., że pisanie poezji po Auschwitz to barbarzyństwo). A jed-

nak sztuka powstaje nadal i ciągle stanowi najważniejszą być może formę wypowiedzi człowieka o sobie samym i otaczającym go, nas, świecie. Fenomen twórczości Tadeusza Różewicza polega, w moim przekonaniu, na tym, że każdy niemal wiersz Poety pozostaje jakby w cieniu owej świadomości swojego bezsensu po potwornościach zgotowanych ludziom przez XX-wieczne totalitaryzmy. Być może naznaczenie poczuciem bezsensowności stanowi w ogóle miarę istoty sztuki powstającej od tamtego czasu?

Różewicz stosował niejednokrotnie w swoich poetyckich tekstach niemieckojęzyczne cytaty i zwroty, czasem miałem nawet poczucie, że jest ich zbyt wiele, czy są za długie dla polskiego czytelnika. Ale czułem też, że stanowią one wyraz, znak jakiegoś bezradnego zdziwienia poety wobec faktu, iż język wielkich filozofów, kompozytorów, poetów i pisarzy może być jednocześnie językiem, którym artykułowało się najgorsze bestialstwo współczesnego świata.

Czytając wiersze Różewicza z początku lat 50., uświadamiałem sobie nie raz, że socrealistyczna doktryna nie zdołała ich zatruć. Choć wiele z nich powstało wyraźnie w duchu tamtej epoki, można by powiedzieć – w duchu narzuconym przez „nową władzę robotniczo-chłopską", ale Różewicz, jak przypuszczam, nie odczuwał tego jako opresji, identyfikując się z owym duchem. Propagandowe wiersze znajdują usprawiedliwienie, alibi w wypowiedziach bardziej osobistych. Wiersz „Stara chłopka idzie brzegiem morza" nabiera głębszej, przekonującej wymowy w kontekście innego, jednego z moich ulubionych wierszy – „Złote góry".

Gdy pod koniec lat 90. rysowałem cykl prac skierowany do Moich Wielkich, jedną z nich zadedykowałem wspólnie Miłoszowi i Różewiczowi, dając w ten sposób znak, że dzieło Różewicza jest dla mnie równie ważne co twórczość noblisty Miłosza. Myślę, że gdyby twórczość ich obu położyć na szalach wielkiej wagi ludzkich dokonań, pozostaną na tym samym poziomie, żadna nie przeważy.

Niedawno, rozglądając się za mottem, słownym „wyjaśnieniem" dla moich kompozycji z kołami, znalazłem sformułowanie, jakiego szukałem, u Różewicza, na zakończenie jego dawnego wiersza: „jakby ktoś pisał na wodzie / okrągłe litery / Koła".

Stanisław Zbigniew Kamieński
Paestum 30.04 – Radom 9.05.2014 r.

Tadeusz Juda z Radomska

Anna Spólna

Kiedy przeczytałam wiadomość, że umarł, poczułam, jak ważnym był dla mnie człowiekiem. Bo o tym, że stracimy wkrótce wybitnego twórcę, bezkompromisowego moralistę, najodważniejszego polskiego poetę, wiedziałam przecież od dawna.

Myśląc o jego *Cierniu*, o *Bez*, *Widziałem Go*, *Bajce*, o tomie *Matka odchodzi*, przypomniałam sobie słowa pisarza wypowiedziane w rozmowie z Krystyną Czerni z 2009 r.: „Ja ciągle powtarzam, że wiara jest niezwykłą łaską. Kto jest nią obdarzony, jest człowiekiem szczęśliwym". Zmarł trzy dni przed kanonizacją dwóch papieży, ważnych dla jego drogi duchowej. Zarówno Janowi Pawłowi II, jak Janowi XIII poświęcił wiersze, znamienne dla postawy poszukiwania świętości w świecie skażonym złem, wyjałowionym z Absolutu, ale pełnym tęsknoty za nim.

Tadeusz Różewicz należał do tego samego co Karol Wojtyła pokolenia Kolumbów. Podkreślał w wywiadach zainteresowanie jego *Listem do osób w podeszłym wieku*, polemizował z tezami *Listu do artystów*. Jednocześnie nie znosił medialnego hałasu i drażniły go przejawy powierzchownego kultu Papieża Polaka, co widać w brulionowej wersji poematu *Nożyk profesora*. Wizyta w Wadowicach oznacza w niej konfrontację z ceną kremówek, słynnych jak „trzecia tajemnica" z Fatimy. Ostateczna redakcja tekstu jest jednak stonowanym zapisem wzruszenia na widok miejsca, gdzie stały „dom rodzinny szkoła ubogi kościół" przyszłego papieża. Podmiot określa Wojtyłę jako „poetę Jawienia", akcentując tym wojennym pseudonimem literackim i wspólnotę generacyjną, i łączące ich powołanie pisarskie.

Wielką serdeczność i autentyczną fascynację Janem XXIII ujawnia wiersz „***Jest taki pomnik" z tomu *Szara strefa*. Tytułowa rzeźba autorstwa Ludwiki Nitschowej to „smutny opuszczony/ pomnik Dobrego Papieża" porównywany przez poetę do „granitowej beczki", „baryły", „słonia". Określony ironicznie jako „niesłuszny" politycznie (jako że władze wystawiły go w 1968 r. ze względu na dialog Roncallego z komunistami) symbolizuje odrzucenie pamięci po uśmiechniętym Włochu. Bohater przedstawia się jako Tadeusz Juda z Radomska (miejsce urodzenia i patron są odwołaniem do „wiary dziecinnej"). Zwraca się do papieża jako kogoś szczególnie bliskiego w tym opuszczeniu: „czy nie jest ci smutno/ Ojcze Święty/ mój ojcze serdeczny". Końcowe wersy stanowią reakcję na wielokrotne próby przypisania Różewiczowi ateizmu (zwykle łączonego z nihilizmem):

jaki tam ze mnie ateista

ciągle mnie pytają
co pan myśli o Bogu
a ja im odpowiadam
nieważne jest co ja myślę o Bogu
ale co Bóg myśli o mnie

W ostatnich kilkunastu latach Różewicz uczył się także od ewangelickiego pastora Dietricha Bonhoeffera, który zginął zamordowany przez hitlerowców w kwietniu 1945 r. Wiersz „*** Dostojewski mówił..." zamknął słowami, które nawiązują do książki *Naśladowanie* niemieckiego teologa:

ten Człowiek
syn boży
jeśli umarł

zmartwychwstaje
o świcie każdego dnia
w każdym
kto go naśladuje

Autor *Płaskorzeźby* był zafascynowany ekumeniczną naturą poglądów Bonhoeffera, dla którego chrześcijaństwo z założenia przyłączało, a nie wykluczało ze wspólnoty. Dlatego czytam testament Różewicza jako gest przebaczenia, pojednania i ostatnie świadectwo poety szukającego Boga w człowieku-bliźnim:

„Moja ostatnia wola i prośba, jest moim pragnieniem, aby urna z moimi prochami została pogrzebana na cmentarzu ewangelicko-augsburskim przy kościele Wang w Karpaczu Górnym. Proszę też miejscowego pastora, aby wspólnie z księdzem kościoła rzymsko-katolickiego (którego jestem członkiem przez chrzest św. i bierzmowanie) odmówił odpowiednie modlitwy. Pragnę być pochowany w ziemi, która stała się bliska mojemu sercu, tak jak ziemia gdzie się urodziłem. Może przyczyni się to do dobrego współżycia tych dwóch – rozdzielonych wyznań i zbliży do siebie kultury i narody, które żyły i żyją na tych samych ziemiach. Może spełni się marzenie poety, który przepowiadał, że »Wszyscy ludzie będą braćmi«. Amen.".

Anna Spólna

Skaryszew i bożogrobcy. Na okoliczność 750-lecia Skaryszewa

fot. J. Kutkowski

Skaryszew i bożogrobcy. Na okoliczność 750-lecia Skaryszewa

Kiedy już zrobiono drogę między Radomiem a Skaryszewem, Jarosław Iwaszkiewicz zaczął tędy jeździć swoją minerwą do Sandomierza. Wcześniej musiał objazdem przez Skarżysko i Starachowice-Wierzbnik. Jak pisał w 1976 r.: „Długi czas droga Radom–Skaryszew była straszna, złamałem tam kiedyś resor samochodu. Dziś jest ona znakomita i w dodatku bardzo mało uczęszczana. Specjalnie ulubiłem sobie Skaryszew. Jechało się koło kościoła i potem długą drogą przez całe miasteczko, linią osobliwych pożydowskich domów z bardzo szerokimi bramami wjazdowymi... Jakiś miałem pociąg do tego miasteczka, bardzo dziś lichego, ale które miało epoki swej świetności. Może dlatego interesowało mnie to miasto, że znajdował się tu ongi klasztor Bożogrobców z Miechowa, ongi przez Jaksę z Ziemi Świętej sprowadzonych. Oni to budowali ów niepozorny dzisiaj kościół, przeze mnie opisany, oni napełnili mistyczną atmosferą to miasteczko, gdzie ongi święta Kinga i święta Jadwiga mieszkiwała i w którym Bolesław Wstydliwy niejeden dokument wystawił”. Wkrótce powstało jego opowiadanie *Kościół w Skaryszewie*, a według niego film Stanisława Różewicza „Ryś”, który kręcono nie gdzie indziej jak w Skaryszewie.

Wróćmy do Jaksy, który był członkiem jerozolimskiego zakonu bożogrobców. Początki zakonu sięgają 1099 r., kiedy to Gotfryd de Bouillon utworzył przy Świętym Grobie w Jerozolimie zgromadzenie, które miało się opiekować tym miejscem. Wspólnota składała się z rycerzy i duchownych. W 1114 r. patriarcha jerozolimski Arnold zorganizował kanoników w zakon. Po powrocie Jaksa z rodu Gryfitów sprowadził bożogrobców w 1163 r. do Miechowa. Wkrótce powstały inne konwenty, przy których organizowano parafie i szpitale, m.in. w Skaryszewie w 1167 r., ale i w Gnieźnie w 1243 r. potem np. w Krakowie (1351) i Leżajsku (1400). Po opuszczeniu Ziemi Świętej bożogrobcy szerzyli kult Grobu Pańskiego i nabożeństwa pasyjne. Od nich pochodzi m.in. zwyczaj urządzania Grobu Pańskiego w Wielki Piątek. Szczególnym dla nich miejscem stał się Miechów, gdzie w bazylice przechowywano kamień z grobu Chrystusa. Sanktuarium miechowskie do XIX w. znane było w całej Europie. Bożogrobcy w Polsce pierwotnie używali czarnego stroju z czerwonym krzyżem o podwójnej belce poziomej. Taki krzyż jest do dzisiaj herbem Skaryszewa. To tutaj powstała druga po Miechowie wspólnota złożona z przeora i 12 braci. Jak pisze ks. Wiśniewski, komes Radosław (z rodu Odrowążów) za duszę swoją dał zakonnikom Grobu Pańskiego Skarisow, kościół, targowisko i karczmę. Pierwszy drewniany kościół konsekrował biskup krakowski Gedko, bliski współpracownik Kazimierza Sprawiedliwego. Wybitną postacią tych lat był Jakub ze Skaryszewa (Weksa), który przeprowadził proces kanonizacyjny św. Biskupa Stanisława Szczepanowskiego, kanonizowanego w Asyżu w 1253 r. Miał Skaryszew szczęście do świętych. Często tutaj gościła księżna Grzymisława, żona Leszka Białego, matka św. Salomei i Bolesława Wstydliwego, m.in. w 1230 r., kiedy podarowała bożogrobcom wieś Dzierzkówek. Dwa lata później zatrzymała się tutaj św. Jadwiga, żona Henryka Brodatego. Na przedmieściu Skaryszewa nad Kobylanką był dwór, w którym wielokrotnie zatrzymywała się św. Kinga (Kunegunda).

„Złotousty nasz Skarga w żywocie św. Kunegundy pisze, że gdy królowa wejść chciała do kościoła w Sk. czart się jej w osobie baby wyższej niż kościół ukazał, krzyknęli inni z bojaźni, a ona go krzyżem św. odpędziła. Dawny obraz na płótnie malowany, z odpowiednim napisem, wiszący dawniej obok ambony, przypominał tą legendę” – zanotował w *Dekanacie Radomskim* ks. Jan Wiśniewski. Dwukrotnie przez Tatarów zrównany z ziemią Skaryszew powstawał jak Feniks z popiołów. Kościół odbudowano, ale w 1656 r. spalili go Szwedzi. Murowaną świątynię oddano w roku 1701. Należała ona do bożogrobców aż do kasaty zakonu przez władze carskie (1819).

Wróćmy jednak do Bolesława Wstydliwego, który w 1264 r. nadał przywilej ponownego osiedlenia się mieszczan i prawa miejskie. Właśnie minęło 750 lat od tego ważnego wydarzenia. 18 maja 2014 r. zjechali się do Skaryszewa znamienici goście, na czele z panią marszałek Sejmu RP Ewą Kopacz tutaj urodzoną. Znany z „Rancza” lekarz (Włodzimierz Wolski) wcielił się w rolę Bolesława Wstydliwego. Była uroczysta msza św. w pięknie odnowionym barokowym kościele, koncert kwartetu, tańce, inscenizacje i rycerskie turnieje. Serdecznie, po latach, witano bożogrobców, bo zakon znów istnieje w Polsce. Próby jego reaktywacji podejmowano w okresie międzywojennym, jednak wybuch II wojny światowej pokrzyżował ówczesne zabiegi. Po upadku komunizmu z inicjatywą zaprowadzenia zwierzchnictwa rycerzy bożogrobców w Polsce wystąpiły władze generalne zakonu z Rzymu. Nawiązano kontakty z prymasem Józefem Glempem, którego mianowano 8 grudnia 1995 r. Wielkim Przeorem. Było to formalne ponowne utworzenie zakonu bożogrobców w Polsce. Pierwsza inwestytura (obrzęd przyjęcia) duchownych, kawalerów i dam, odbyła się w marcu 1996 r. w Warszawie w obecności kardynała Carlo Furno, wielkiego mistrza zakonu. Obecnie po kilkunastu inwestyturach zakon w Polsce liczy ok. 250 członków. Strój dziś obowiązujący to mucet dla duchownych, dla dam czarny płaszcz, a dla kawalerów biały płaszcz z czerwonym krzyżem jerozolimskim.

„Dziś zrobiono objazd w Skaryszewie, droga prowadzi teraz na wprost i wymija się wszystkie owe pożydowskie domy, tak charakterystyczne. Kościół też stracił nieco swojej intymności, wystąpił naprzód i cały pejzaż się zmienił” – dodaje Iwaszkiewicz. Już pierwszy rzut oka z samochodu pozwala stwierdzić, że zmienił się na lepsze.

(jbk)
20 maja 2014 r.

Listy z niechcianej podróży

Krzysztof Sadurski

To historia, jakich wiele wydarzyło się w polskich dziejach. Zaczyna się więc tak samo jak wiele podobnych opowieści. Zdołbunów, niewielkie miasto na Wołyniu położone 12 km od Równego, w okresie międzywojennym zamieszkiwali Polacy, Ukraińcy, Czesi i Żydzi. Kontakty towarzyskie łączyły mieszkańców niezależnie od narodowości czy wyznania. Sąsiedzi pozdrawiali się, wymieniali poglądy, plotkowali.

W tym właśnie miasteczku przy ulicy Długiej, nieopodal parku mieszkała rodzina Przybyszów. Stanisław Przybysz w czasie I wojny światowej był felczerem wojskowym, po jej zakończeniu pracował jako maszynista parowozu. Jedyna córka Przybyszów, Kazimiera, we wrześniu 1939 r. miała rozpocząć naukę w gimnazjum kupieckim w Równem. Wojna zniszczyła spokojny, beztroski świat, w którym Kazimiera dorastała, bawiąc się z rówieśnicami, a mieszanka języków nie była przeszkodą. Jedną z najbliższych przyjaciółek Kazimiery była Larysa. Jej rodzice byli wyznania prawosławnego, ale po śmierci ojca matka wyszła ponownie za mąż za Polaka – Komorowskiego, który pracował na państwowej posadzie jako urzędnik. Kazimiera lubiła też państwa Całowych mieszkających dwa domy za Przybyszami. Małżeństwo to długo pozostawało bezdzietne, aż wreszcie oczekiwany potomek miał przyjść na świat w marcu 1940 r. Pan Całowy był kiedyś wojskowym, teraz pracował jako nauczyciel wychowania fizycznego w szkole Kazimiery. Jego żona Wacława była profesorką w gimnazjum ogólnokształcącym w Zdołbunowie, nadzwyczaj lubianą przez młodzież.

Wraz z wybuchem wojny w okolicznych wsiach i folwarkach zaczęły się napady nacjonalistów ukraińskich na Polaków. Mordy, gwałty, rabunki stawały się coraz częstsze. Ci, którym udawało się uciec przed prześladowaniami, gromadzili się w miasteczkach Wołynia, w tym i w Zdołbunowie. Ale i tu ich los stawał się coraz bardziej niepewny.

Po kilkunastu dniach wojny spodziewano się wkroczenia do miasta wojsk niemieckich, bo wieści z frontu nie były dobre. Jakież było zaskoczenie, gdy 17 września do miasta wkroczyli bolszewicy. Z początku łudzono się, że nie będzie tak źle, a nowa sowiecka administracja przywróci w miarę normalne warunki funkcjonowania. Władza szybko rozwiała te złudzenia, wprowadzając radykalne zmiany w życiu miasta i jego mieszkańców. Jedną z pierwszych decyzji były zmiany w szkołach, w których co prawda początkowo pozostawiono część polskich nauczycieli, ale nauka odbywała się już wyłącznie po rosyjsku lub ukraińsku. Wkrótce zaczęły się aresztowania i wywózki, przede wszystkim przedstawicieli inteligencji i osadników wojskowych. Nauczyciel Całowy był jednym z pierwszych aresztowanych.

W kwietniu 1940 r. na bocznicę kolejową wjechał, ciągnąc za sobą wagony towarowe, parowóz z czerwoną gwiazdą na przodzie. Takie pociągi oglądała wiele razy przed wojną. Być może marzyła wtedy o dalekich podróżach, ale podróż, w którą jednym z bydlęcych wagonów wyruszyła przyjaciółka Kazimiery Larysa oraz pani Całowa z maleńkim dzieckiem, nie była wyprawą z dziecięcych marzeń. Dworzec obstawiony był tłumem milicjantów i czerwonoarmistów wrogo nastawionych do Polaków. Nawet kolejarze przestali być sympatyczni. Kazimiera stała w dużej grupie osób żegnających swoich bliskich i znajomych, przekazujących im pakunki z żywnością i odzieżą, z tym wszystkim, co mogło być przydatne w podróży i w nieznanym miejscu przeznaczenia. Rozpacz i strach ludzi siłą wywożonych z rodzinnych stron udzielały się tym, co zostawali. Pociąg wkrótce odjechał, w następnych dniach podążyły za nim kolejne. Rodzina Przybyszów szczęśliwie pozostała w Zdołbunowie.

Wkrótce Kazimiera dostała od Larysy list, w którym przyjaciółka donosiła, że i ona, i pani Całowa dojechały do Kazachstanu, do wsi Smirnowka. I tu – pisała – „zamieszkały". Tak rozpoczęła się korespondencja Kazimiery z obiema wysiedlonymi. Zachowały się jedynie, przechowywane przez adresatkę niczym relikwie, listy od Wacławy Całowej. Ukazują one straszliwy obraz zesłania, a można przypuszczać, że skoro listy kierowane były do 14-letniej zaledwie dziewczynki, ich nadawczyni i tak unikała opowiadania szczegółów najbardziej drastycznych, których w życiu zesłańców – jak wiadomo z innych relacji – było na pewno wiele.

Pierwszy z otrzymanych listów datowany jest 13 lipca 1940 r., a ostatni – 2 maja 1941 r.

„Droga Kaziu! Dziękując za pamięć o mnie i Danusi przepraszam jednocześnie, że tak długo czekałaś na list ode mnie, ale wybacz mi kochanie, bo naprawdę nie mam wolnego czasu i nie zawsze mogę skupić myśli, by napisać choć kilka zdań do tych, co zostali hen daleko. Warunki życia i okoliczności, począwszy od końca sierpnia ubiegłego roku, a zwłaszcza przeżycia kilku ostatnich miesięcy tak na mnie wpłynęły, że nerwy moje odmawiają mi nieraz posłuszeństwa i jedynie tylko dla tej małej, mojej dzieciny zmuszam się do spokoju i opanowania, co zresztą nie zawsze mi się udaje. Kilka razy zaczynałam pisać list, lecz dokończyć nie mogłam, gdyż ból ścisnął mi gardło, łzy cisną się do oczu, a w takim nastroju trudno pisać. Teraz powoli, choć z trudem mogę spokojnie myśli swoje przelać na papier. Zdaję sobie z tego sprawę, że list mój może wywrzeć przykre wrażenie, tyle w nim goryczy i pesymizmu, co z punktu widzenia wychowawczego jest wprost karygodnym, żeby treść listu wywołała smutek na twarzyczkach tak młodych istot, jakimi jesteście Wy moje drogie uczennice. Z drugiej strony jednak odczuwam potrzebę podzielenia się z wami mojemi przeżyciami, co sprawia mi dużą ulgę, gdyż wiem, że jesteście dla mnie bliskimi istotami i dałyście mi dowody swojego przywiązania. Nigdy nie zapomnę, ile radości i pokrzepienia doznałam, gdy złamana bólem, będąc już w wagonie naszykowanym do odjazdu, mogłam Was jeszcze zobaczyć i otrzymać od Was pomoc w różnej formie, za co Wam składam serdeczne »Bóg zapłać«. Piszę w liczbie mnogiej, gdyż za pośrednictwem Ciebie zwracam się do wszystkich uczennic, od których otrzymałam wsparcie moralne i materialne. Zwracam się do Ciebie z prośbą, abyś była tak uprzejma i zechciała podzielić się treścią listu z tymi uczennicami, które będą się o mnie pytały, a specjalne z tymi, które przychodziły do wagonu. Trudno jest mi pisać do każdej z osobna, bo po pierwsze nie znam dokładnie adresu wszystkich, a po drugie obawiam się, abym przypadkiem nie pominęła której. Wy natomiast, jeśli tylko możecie, piszcie dużo o sobie, życiu szkolnym i wydarzeniach w naszym mieście. Przed odjazdem ze Zdołbunowa byłam tak skołatana, że widziałam wszystko i wszystkich jak przez mgłę, proszę mi więc darować, jeśli nie wymienię nazwisk wszystkich uczniów, którym tą drogą składam podziękowanie. Przede wszystkim Tobie, Irce i Reginie Leszczyńskim jak też p. Lusi Leszczyńskiej, Haddzewiczównie, Andrzejewskim, Prussakównie, Permikównej, Maciusiowi Kędzierskiemu, temu uczniowi co był z Leszczyńskimi i pozostałymi. Z pośród tych, które nie były moimi uczennicami – siostrom Gandurskim i pozostałym. Nie chcę obarczać Cię zbyt wielkim ciężarem, więc w miarę możności przy okazji spełnij moją prośbę. Chciałabym bardzo wiedzieć, co dzieje się z Andrzejewską Halą, którą prowadziłam od pierwszej klasy jako wzorową uczennicę, proszę podać jej mój adres i niech ona sama skreśli do mnie osobiście choć kilka słów.

O tym co dotyczy Kazachstanu i warunków życia nie będę pisała, gdyż zapewne Larysa już dokładnie Ci podała. Co do mnie, to sama borykam się z losem, o moim mężu żadnych wiadomości nie mam. Zarobkowo pracować nie

mogę z powodu braku czasu. Cały dzień zajmuje mi praca około Danusi, sama piorę pieluszki, suszę, magluję, przerabiam ze swoich dla niej różne części garderoby i to wtedy, gdy ona śpi, a gdy nie śpi, muszę się nią zająć. Od czasu do czasu przychodzą dziewczynki, bawią się z Danuśką; trudy podróży zniosła szczęśliwie, lecz tu na miejscu jako trzymiesięczne maleństwo chorowała na grypę, martwiłam się bardzo o nią, gdyż tu nie ma natychmiastowej pomocy lekarskiej ani żadnych lekarstw, wyleczyłam ją tymi środkami, które przywiozłam ze sobą ze Zdołbunowa. Po wyzdrowieniu znowu miała szczepioną ospę i widocznie silna była szczepionka, bo bardzo cierpiała. Teraz znowu choruje na żołądek. Zmiana warunków klimatycznych odbija się niekorzystnie na zdrowiu dorosłych, a tym bardziej na zdrowiu takiej małej istoty. Droga Kaziu! Jeszcze o jedno chcę Cię prosić, byś zaszła do pp. Kędzierskich (dawnego inspektora szkolnego, obecnie nauczyciela) i dowiedziała się, co się z nimi dzieje, gdyż pisałam do nich dawno list i nie otrzymałam dotychczas odpowiedzi. Kończąc swój list, pozdrawiam Cię serdecznie, całuję stokrotnie jak również inne moje uczennice i czekam na wiadomości od Was! Wacława Całowa z Danuśką [po rosyjsku Wacława Całowa Romualdowna]. Smirnowka dn. 13.07.1940 r.".

„Droga, moja ukochana Kaziu!
Dziękuję Ci serdecznie za list, który otrzymałam. Wspominasz o tym, by więcej pisać, tak, istotnie mój list ostatni był bardzo krótki, ale wybącz mi Dziecino, nie potrafię teraz myśleć o czym innym, jak tylko o tym nieszczęściu, które mnie ostatnio spotkało. Tak ciężko i bardzo trudno pogodzić się z tym, że nie mam już Danusi, że leży już w ciemnej mogile. Zgasło moje słoneczko, na zawsze, zasnęło na wieki, pozostał żal, smutek, boleść i cierpienie. Wiadomość o Mszy Św. żałobnej na jej intencję sprawiła mi dużą ulgę, gdyż śniła mi się Danusia którejś nocy, że prosi o jedzenie, a ja w tutejszych warunkach nie mam możności zadość uczynić jej prośbie. Prosiłam chrzestną Matkę Danusi, to jest p. Kędzierską, i przypuszczam, że będzie odprawiona chyba w listopadzie. Nie dawno dowiedziałam się o śmierci córeczki profesorki z rówieńskiego gimnazjum p. Śliwińskiej. Tak, coraz więcej mogił i krzyżów przybywa na syberyjskich stepach, coraz więcej istnień polskich, a zwłaszcza dzieci ginie, za jaką winę? O rozmyślaniach i przeżyciach na ten temat mogłabym dużo pisać, ale nie uczynię tego, gdyż one sprawiają mi niewymowny ból, a i Wam dziewczynki drogie nie przyniosą spokoju ducha. Mam zdjęcie Danusi w trumience, jeżeli miałybyście życzenie, mogę wam przesłać. Nie jest wykonane tak, jak w kraju, ale na tutejsze warunki zadawalające. Droga Kaziu! Jestem ciekawa, które dziewczynki uczą się razem z Tobą. Może będziesz tak uprzejmą i w liście swoim podasz imiona i nazwiska dziewczynek z 7-mej klasy oraz wymienisz przedmioty, których uczycie się i w jakim języku; a w drugiej szkole powszechnej, którzy z nauczycieli Polaków uczą? Pisano do nas, że dużo rodzin wraca na swoje miejsca, kto wie, może i na nas kolej nadejdzie, wszyscy żyjemy nadzieją, oby nas tylko nie zawiodła; a tymczasem zima na dobre rozpanoszyła się i zmusza nas do siedzenia w domu, gdyż nasza odzież nie nadaje się do spacerów. Tomecki na pewno opowiada Wam dużo o Kazachstanie. Na zakończenie proszę o wiadomości o moim Mężu, jeśli to będzie możliwe. Zasyłam serdeczne pozdrowienia, ucałowania buziaczków wszystkim dziewczynkom! Pozostaję w oczekiwaniu listów, osierocona W. Całowa.
Smirnowka 27.10.1940 r.".

„Droga Kaziu!
Stosownie do życzenia Twego i koleżanek przesyłam fotografię Danusi w trumience. Zaznaczyłam już poprzednio, że nie jest wykonana tak, jakbym ja sobie tego życzyła – lecz trudno – z wielu faktami trzeba się pogodzić. Bez względu na to jak jest, przedstawia dla mnie nieocenioną wprost wartość i przesyłam ją na Twoje ręce z głębokim przeświadczeniem, że będzie należycie uszanowana. Dziękuję Tobie, jak również pozostałym dziewczynkom za pamięć o mnie i propozycję przesłania mi opłatka. Chętnie się na to godzę i czekać będę z utęsknieniem, gdyż opłatek przedstawia dla mnie w obecnych warunkach »coś«, co trudno określić słowami, a co Wy, drogie dziewczynki, należycie przypuszczam rozumiecie. W dalszym ciągu dziękuję za wiadomości odnoszące się do życia szkolnego i proszę o podawanie w każdym liście i zapewniam, że czytam je z dużym zainteresowaniem. Kaziu, dziecino, nie gniewaj się na mnie, że Ci zwrócę uwagę i poproszę, abyś w listach nie przesyłała pieniędzy, kopert i znaczków ze względu na to, że czynisz tym uszczerbek w budżecie Rodziców, a ja jeszcze mam za co kupić to, co mi jest potrzebne. Nie pytając Ciebie o zdanie, kopertę z papierem i listem oddałam Larysie, pieniądze (3 r) na razie zatrzymałam sobie, ale też chętnie oddałabym Larysie. Na Kazachstanie panuje już od dłuższego czasu zima ze wszystkimi jej przejawami i stosownie do tego musimy się ubierać. Zapewniam, że gdybyś mnie spotkała, nie poznałabyś mnie w obecnym stroju. Tutejsi mieszkańcy twierdzą, że w tym roku wyjątkowo „łagodna zima" – nasze szczęście!!! Co do adresu, to proszę pisać tak, jak podaję na kopercie. Dotychczasowy adres to właściwie Larysy, gdyż ona mieszka u tego gospodarza, ja zaś gdzie indziej. Zasyłam moc pozdrowień, całuję serdecznie Was wszystkich i czekam listów. W. Całowa.
9.12.1949 r., Smirnowka".

„Droga i miła Kaziu!
Listy Twoje otrzymałam i stosownie do życzenia jeden z nich doręczyłam Larysie. Za kartę z życzeniami i opłatek stokrotnie buziaki całuję i mocno, mocno tulę do siebie. Widoczek, przedstawiony na karcie, tak żywo przypomniał mi krajobraz naszych pól, łąk, lasów i pozwolił przenieść się myślą w tak niezbyt odległe czasy, a zdaje się przed wiekiem. Często wyciągam go z albumu i z przyjemnością przyglądam się. Opłatek otrzymany rozczulił mnie bardzo – wszak to symbol pojednania, braterstwa i miłości nas wszystkich, a w obecnych warunkach znaczenie jego spotęgowało się – bo stał się on dla nas symbolem łączności tych wszystkich, których los porozdzielał. Za pośrednictwem tego listu przesyłam Ci Kaziu moje najserdeczniejsze życzenia spełnienia pragnień! Oby ten rok 1941 zaoszczędził nam bólów, smutku i cierpienia. Okres Świąt Bożego Narodzenia był dla nas ciężki ze zrozumiałych Ci przyczyn, staraliśmy się jednak pocieszać wzajemnie, nie upadać na duchu. Sztuczna wesołość zamieniała się nieraz w gorzki płacz, jakiś szloch żałosny, wydobywający się z głębi serca. Larysa zapewnie opisała Ci, jak spędzałyśmy Wigilię i dni świąteczne; potem wróciło się do swoich codziennych zajęć. Dzień za dniem upływa i mija już dziesiąty miesiąc naszego pobytu na Kazachstanie. Zima daje się nam coraz bardziej we znaki, co miesiąc to sroższa, to dokuczliwsza ze swoimi mrozami i zamieciami. Bogu dzięki, że mamy już poza sobą cztery miesiące zimy, pozostało jeszcze dwa miesiące prawdziwej zimy, a reszta już nie jest dla nas straszna. Cmentarzyk przykryty jest grubą warstwą śniegu, jakby białym całunem, z pod którego sterczą ramiona krzyży wznosząc się do nieba z błagalną prośbą o modlitwę. Moja Kazieńko milusia! Pisz do mnie jak najczęściej, o ile Ci tylko czas pozwoli, o życiu szkolnym, o tym jak się czujesz, co się dzieje w Zdołbunowie i bądź taka dobra, jeśli możesz prześlij mi w liście kalkę 1 arkusz, potrzebny mi jest do przekalkowania wzorów. Mam zamiar haftować w celach zarobkowych. Kończąc, zasyłam pozdrowienia Rodzicom, Tobie, ucałowania pozostałym znajomym.
Wasza W. Całowa Smirnowka, dn. 4.02.1941 r.".

„Droga Kaziu!
Za kwiatki, życzenia świąteczne serdecznie dziękuję. Narzekasz Dziecino, że listy moje są krótkie, to prawda, ale cóż będę Ci opisywać moją niedolę, biedę, tym bardziej, że żadnej zmiany na lepsze nie widać. Zajmuję się nadal haftowaniem i oczekuję z dnia na dzień wiadomości od Rodziców z Puław, którzy rozpoczę-

li starania o mój powrót, nie wiadomo tylko, czy z pomyślnym skutkiem. Wspomniałaś Kaziu, że jeździłaś do Szepetówki odwiedzić babcię i jeśli możesz, napisz adres babci, a może jeszcze kto ze znajomych tam mieszka? Ciekawa jestem, jak wygląda Szepetówka, wprawdzie przejeżdżałam koło tego miasteczka, ale nie pamiętam, zresztą nie miałam chęci wtedy patrzeć na świat. Czy jadąc ze Zdołbunowa lub do Zdołbunowa stamtąd trzeba mieć jakąś przepustkę czy swobodnie się przejeżdża? Pisz do mnie Kaziu dużo o sobie, o życiu szkolnym, o tym co się dzieje w Zdołbunowie. List załączony, kwiatuszek i jeden znaczek doręczyłam Larysie. My jeszcze chodzimy w ciepłej odzieży tylko bez [.....pimór? (nieczytelne)], gdyż teraz właśnie są największe roztopy i zima prawie kończy się, ale wiosny nie widać. Całuję Cię serdecznie i pozdrawiam. Oczekuję listu. W. Całowa.
Syberia 2.05.1941 r.".

Korespondencja urwała się z chwilą wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej w czerwcu 1941 r. Moja ciocia Kazimiera mimo wieloletnich usilnych starań do dziś nie uzyskała żadnej wiadomości o Larysie i pani Wacławie Całowej. Żyje nadzieją, że może obie przeżyły i ewakuowały się z armią Andersa. To tylko przypuszczenie, trudne do zweryfikowania. Kazimiera ma cichą nadzieję, że może nowe informacje pojawią po publikacji listów. Jestem bardziej sceptyczny, ale wolałbym, żeby to ona miała rację. Kazimiera Przybysz wraz z matką przeżyła okres okupacji i rzezi wołyńskiej. Podjęły trudną decyzję o wyjeździe ze Zdołbunowa, pozostawiając część rodziny na Wołyniu. Jednym z pociągów repatriacyjnych w pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia 1944 r. dotarła do Lublina, w którym do dziś mieszka. W 1951 r. wyszła za mąż za Zdzisława Sadurskiego, mego stryja. Ma jedną córkę Joannę, po mężu Kotarską.
Przed kilku miesiącami ciocia przekazała mi wszystkie pamiątki rodzinne z prośbą, abym je przechował dla dalszych pokoleń naszej rodziny. Co oczywiście uczynię.

Nie wiem jedynie, czy będę w stanie dowiedzieć się czegoś o dalszych losach bohaterek przytoczonej tu korespondencji. A może rzeczywiście ktoś odezwie się z wiadomościami po przeczytaniu listów z niechcianej podróży?

Krzysztof Sadurski

KRONIKA
kwiecień – maj 2014

Iłża

24.05.2014. Na zamku odbył się XVII Turniej Rycerski z udziałem grup rycerzy z całej Polski.

Kozienice

5.04.2014. W Muzeum Regionalnym im. prof. Tomasza Mikockiego otwarta została wystawa biżuterii Jarosława Kolca „Dam Ci kamyk...".

17.05.2014. Muzeum Regionalne w Kozienicach zaprosiło na Noc Muzeów po Indonezyjsku. W programie było otwarcie wystawy „Minangkabau. Kultura i Sztuka Sumatry" oraz występ Warsaw Gamelan Group.

Radom

1–4.04.2014. W Miejskiej Bibliotece Publicznej trwała 37. Radomska Wiosna Literacka. Tym razem zaproszeni zostali pisarze laureaci nagród literackich: Justyna Bargielska, Wojciech Górecki, Ziemowit Szczerek, Michał Sobol, Anna Kańtoch, Katarzyna Ryrych, Marcin Pałasz, Paweł Beresewicz.

1.04.2014. W Muzeum Sztuki Współczesnej zorganizowano wystawę edukacyjną zatytułowaną „Kartka papieru dziełem sztuki. Rysunki, grafiki, wycinanki, fotografie".

3.04.2014. W „Łaźni" Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii wystąpili studenci ostatniego roku Akademii Muzycznej w Gdańsku: Monika Cichocka – sopran, Róża Borzdyńska – sopran, Jacek Batarowski – bas, baryton oraz pianista Michał Jerzy Tyczyński. Podczas koncertu zatytułowanego „Muzyczny powiew wiosny" zaśpiewali arie z oper i operetek znanych kompozytorów.

4.04.2014. W „Łaźni" Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii otwarto wystawę prac Mariusza M. Dańskiego „Plusquamperfectum".

5.04.2014. W Czytelni Kawy odbył się koncert łódzkiej grupy Psychocukier.

7–11.04.2014. 6. Spotkania z Kulturą Żydowską odbyły się w Resursie Obywatelskiej. W programie były spektakle teatralne, projekcje filmów, wykład prof. Pawła Śpiewaka oraz „Lamentacje..." – koncert toruńskiej grupy HaShir.

11.04.2014. „Łaźnia" Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria zorganizowała promocję nowego tomu poezji Adriana Szarego zatytułowanego *Heureza*, wydanego przez „Zeszyty Poetyckie" w serii Biblioteka Współczesnej Poezji Polskiej.

11.04.2014. W Mazowieckim Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia" otwarta została wystawa „Format maksymalny A4 (wystawa szósta)".

13.04.2014. Muzeum Wsi Radomskiej zaprosiło na organizowane każdego roku uroczystości Niedzieli Palmowej.

13.04.2014. W kościele pod wezwaniem św. Trójcy odbyło się premierowe wykonanie Oratorium, którego autorem jest radomski muzyk Mariusz Kowalski. Do skomponowania dzieła zainspirowały go wizje błogosławionej Anny Katarzyny Emmerich.

13.04.2014. W kościele ewangelickim odbył się koncert wielkopostny zatytułowany „Płaczcie anieli", który zainaugurował działalność Chóru Filharmonicznego przy Radomskiej Orkiestrze Kameralnej.

15.04.2014. W sali koncertowej im. Krzysztofa Pendereckiego w Zespole Szkół Muzycznych odbyła się Gala Operowa, w której wystąpili uczestnicy Mistrzowskiego Kursu Wokalnego prof. Doris Yarick-Cross i prof. Richarda Crossa. Organizatorem koncertu była Radomska Orkiestra Kameralna, a odbył się w ramach XVIII Wielkanocnego Festiwalu Ludwiga van Beethovena.

24.04.2014. W sali wystawowej filii nr 6 Miejskiej Biblioteki Publicznej otwarta została wystawa fotografii Arkadiusza Kurowskiego.

25.04.2014. W „Łaźni" Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii otwarto pierwszą odsłonę wystawy z cyklu Mistrz i Uczniowie „Juliusz Narzyński z Warszawy, z Łodzi". Zaprezentowano prace Konrada Wieniawy Narkiewicza.

25.04.2014. Finał XXIII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Stanisława Grochowiaka był najważniejszym wydarzeniem tegorocznych Radomskich Spotkań z Poezją. Laureatką pierwszego miejsca została radomianka Lidia Ziemińska. Organizatorem imprezy, która odbyła się w „Łaźni", było Stowarzyszenie Grupa Literacka „Łuczywo".

25.04.2014. Ośrodek Kultury i Sztuki „Resursa Obywatelska" zorganizował wystawę z okazji kanonizacji błogosławionego Ojca Świętego Jana Pawła II „Radomskie ślady świętości".

25.04.2014. W Archiwum Państwowym otwarto wystawę „Spacer z historią ulicy Żeromskiego".

26.04.2014. Polskie Towarzystwo Numizmatyczne Oddział w Radomiu obchodziło 50. rocznicę rozpoczęcia zorganizowanej działalności numizmatycznej w Radomiu. Uroczyste zebranie odbyło się w Miejskiej Bibliotece Publicznej.

26–27.04.2014. Dom Kultury „Idalin" po raz kolejny był organizatorem Zlotu Modularzy Kolejowych.

27.04.2014. Teatr Powszechny przygotował kolejną premierę na scenie Fraszka. Była to inscenizacja baśni „Piękna i bestia" w reżyserii Ewy Sokół-Maleszy.

30.04.2014. W „Łaźni" Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii odbył się recital piosenek Anny German w wykonaniu Oleksandry Zhuravel.

3.05.2014. W kościele garnizonowym oraz na deptaku przed gmachem urzędu miejskiego odbyły się uroczystości dla uczczenia kolejnej rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja.

8.05.2014. W „Łaźni" Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii otwarto drugą odsłonę wystawy z cyklu Mistrz i Uczniowie „Juliusz Narzyński z Warszawy, z Łodzi". Zaprezentowano prace Marleny Szymczyk i Jakuba Jakubowskiego.

9–17.05.2014. Trwał XXI Ogólnopolski Turniej Śpiewających Poezję „Łaźnia" 2014. Poza przesłuchaniami konkursowymi odbyły się koncerty poezji śpiewanej i piosenki aktorskiej, spektakle muzyczne. Laureatką Złotego Prysznica została Justyna Panfilewicz z Łodzi. Gwiazdą koncertu finałowego była Magdalena Kumorek.

16.05.2014. Prezydent Miasta Radomia, Instytut Archeologii i Etnologii PAN i Zespół Naukowy do Badań Dziejów Radomia zorganizowali konferencję naukową „Od grodu do miasta lokacyjnego. 650. rocznica przeniesienia Radomia na prawo magdeburskie. Konferencja odbyła się w OKiS „Resursa Obywatelska".

17.05.2014. W „Łaźni" Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii odbył się wernisaż wystawy plastycznej w klimacie Nocy Muzeów „Centralne Biuro Sztuki (CBS) odsłona pierwsza »Trzech Muszkieterów«: Krzysztof Ciecieląg, Michał Budzisz, Dariusz Stelmach".

17.05.2014. Na Noc Muzeów zaprosiły też inne placówki muzealne w Radomiu. W Muzeum im. Jacka Malczewskiego i Muzeum Sztuki Współczesnej można było zwiedzać pokazywane tam wystawy, Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej po raz pierwszy po remoncie i rozbudowie zaprezentowało nowe wnętrza przy ul. Kopernika 1.

21–24.05.2014. Ośrodek Kultury i Sztuki „Resursa Obywatelska" zorganizował VI Radomski Festiwal Filozofii „Okna" im. prof. Leszka Kołakowskiego. W ramach festiwalu odbyła się między innymi debata filozoficzna „Wolność – jak to łatwo powiedzieć..." z udziałem prof. Barbary Markiewicz i dr. Krzysztofa Przybyszewskiego, projekcja filmu „Hannah Arendt", wieczór autorski Eustachego Rylskiego.

23.05.2014. W „Łaźni" Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii została otwarta trzecia odsłona wystawy z cyklu Mistrz i Uczniowie „Juliusz Narzyński z Warszawy, z Łodzi". Zaprezentowano prace radomskiego plastyka Andrzeja Brzegowego.

24.05.2014. W Muzeum Wsi Radomskiej odbył się wernisaż wystawy „Kobieta, matka, żona, społecznica" (w Domu Ludowym z Jedlni-Poświętnego) oraz koncert jubileuszowy 50. Ogólnopolskiego Harcerskiego Rajdu Radomskiego (w Amfiteatrze).

25.05.2014. W Zespole Szkół Muzycznych im. Oskara Kolberga odbył się koncert Orkestar Harmonika Accordion Orchestra (Serbia). Współorganizatorem imprezy było Towarzystwo Muzyczne w Radomiu.

Skaryszew

18.05.2014. 750-lecie lokacji swojego miasta świętowali skaryszewianie. Uroczystości odbywały się na rynku. Zorganizowano korowód historyczny, inscenizację aktu nadania praw miejskich. Wszystkich zgromadzonych częstowano jubileuszowym tortem.

Szydłowiec

2–3.05.2014. Występy gwiazd estrady, uroczystości patriotyczne, kiermasze złożyły się na obchody tegorocznego święta patrona miasta, czyli Szydłowieckie Zygmunty. W tym roku impreza odbyła się po raz 12.

Zwoleń

11.05.2014. „Niedziela na Staropuławskiej" to impreza plenerowa zorganizowana dla mieszkańców i gości. Uczestniczyły w niej zespoły i kapele ludowe, grupy folklorystyczne, Koło Gospodyń Wiejskich, instytucje kultury. Chętnych do zabawy nie brakowało.

8.05.2014. Miejsko-Gminna Biblioteka Publiczna zorganizowała spotkanie z pisarką Ewą Nowak. Adresowane było głównie do gimnazjalistów, a odbyło się w ramach projektu „RozPRACUJ to z biblioteką".

Jerzy Kutkowski ◦ Subiektywny obiektyw



Wolność, Radom ul. Żeromskiego, 2012